Шупол/п
С 558

stenko

Nastusia

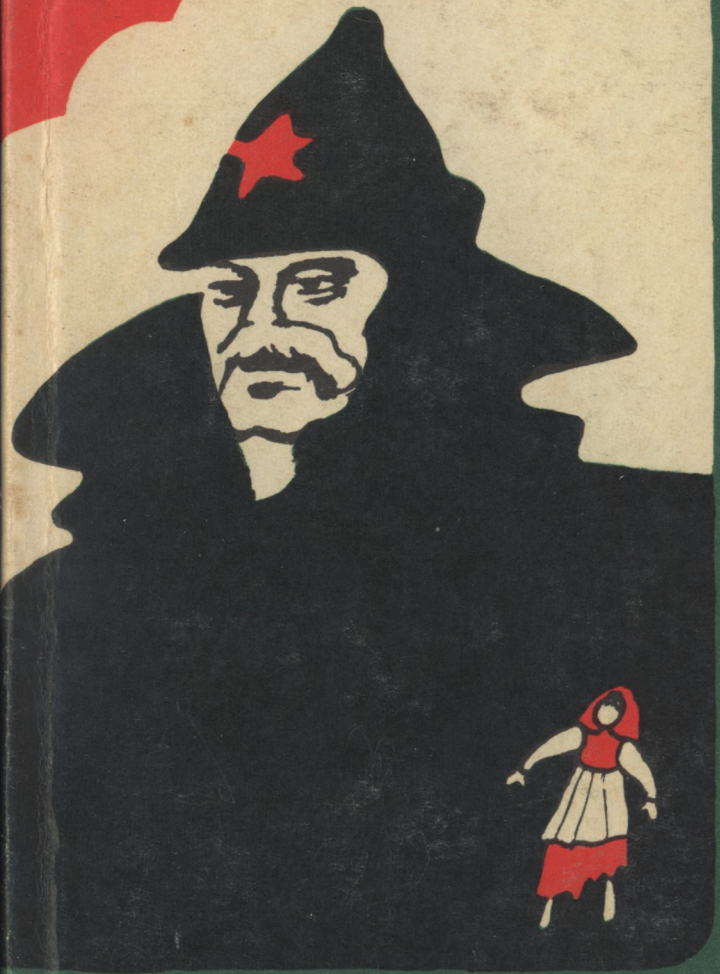

Nastusia

ISKRY • WARSZAWA • 1978

Inna Chrystenko

Nastusia

Przełożyła
Gabriela Pauszer-Klonowska

Przekład z języka ukraińskiego
Wyd. Literatury Dziecięcej
„Weselka"
Kijów 1973

Opracowanie graficzne
KRYSTYNA ZIOŁOWSKA

Redaktor
HELENA BRON

Redaktor techniczny
JÓZEF GRABOWSKI

Korektor
JOLANTA ROSOSIŃSKA

For the Polish edition
© copyright by Państwowe
Wydawnictwo „Iskry", Warszawa,
1978

OD TŁUMACZA

Nastusia, tytułowa bohaterka książki, jest sierotą i jej sieroca dola stanowi treść tej opowieści. Dziewczynka napotyka na niełatwej drodze swego samotnego życia najrozmaitszych ludzi. Są wśród nich ludzie źli i obojętni na cudzą niedolę, tacy jak na przykład ciotka Maryna czy dumna i wymagająca pani generałowa, w której domu, właśnie z woli swej ciotki, musi służyć dziesięcioletnia Nastusia. Ale są także ludzie wielkiego serca, zawsze gotowi pomagać innym. Taką jest piękna i dzielna sanitariuszka Oksana, takim odważny Paweł kolejarz i jego synowie, a także znany pisarz, autor powieści „Niewidomy muzyk", Włodzimierz Korolenko, w którego domu Nastusia szuka pomocy i schronienia. Dzięki takim właśnie ludziom Nastusia nie tylko nie czuje się samotna, ale znajduje swoje miejsce w wirze ówczesnych historycznych wydarzeń. A są to bardzo burzliwe i znamienne lata: rok wybuchu Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i rok następny, 1918. Miejscem akcji książki jest rodzinne miasto Nastusi — Połtawa.

„Losy Nastusi — wyznaje autorka w jednym z listów pisanych do tłumacza — są w dużej mierze odbiciem losów mojej matki, której pamięci tę książeczkę poświęcam". I może właśnie te osobiste powiązania autorki z jej małą bohaterką czynią tę opowieść tak prawdziwą, żywą i bezpośrednią.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Dzień małej Nastusi

Tuż pod oknem załopotał skrzydłami młody kogucik sąsiadów i ochrypłym głosem obwieścił, że zaczął się upalny letni dzień. Pianie koguta obudziło Nastusię. Usiadła na posłaniu przecierając zaspane oczy. Słońce, jak zwykle, wstało jeszcze wcześniej. Jego wesołe promienie dawno już zajrzały do izby, zdążyły wydeptać sobie ścieżkę poprzez ławę i stół i padły prosto na matczyne ramiona, nisko pochylone nad pilną robotą. Potem, jak gdyby chcąc powitać pracowitą matkę, przesunęły się pieszczotliwie po jej gładko przyczesanych włosach, po nitce korali na białej szyi i rozbłysły jasno na niklowanym kole maszyny do szycia.

Nastusia zeskoczyła z posłania wprost na ubitą z gliny podłogę i tak jak stała wybiegła na podwórze. Pogoda była piękna. Dziewczynka czuła pod bosymi stopami ciepło ziemi, która grzała, jak rankiem grzeje jeszcze napalony z wieczora duży rosyjski

piec. W przejrzystym powietrzu można było dojrzeć hen daleko Górę Klasztorną, pokrytą lasem. Za nią, wśród oślepiająco białych piaszczystych brzegów, wiła się Worskła, zarośnięta gęstą wierzbiną. Dalej zaś, za Worskłą, wznosiły się budynki i dymiły lokomotywy. To stacja Połtawa Południowa, za którą widać warsztaty kolejowe, gdzie pracował brat matki, wuj Józef. Wysoki, wesoły, cały przepojony zapachem smarów, zjawiał się zazwyczaj co wieczór w ich izbie. Nie zdejmując wymazanej smarami czapki, spod której wysuwał się kosmyk ciemnoblond czupryny, wuj siadał na brzeżku ławki i Nastusia natychmiast zjawiała się przy nim. Wiedziała, że za chwilę wuj Józef wyciągnie z kieszeni duży cukierek zawinięty w kolorowy papier. Cukierek również pachniał smarem, ale był smaczny i słodki.

Dziewczynka westchnęła: wuj Józef już dawno nie przynosi jej cukierków... Jeszcze zimą zabrali go żandarmi. Zabrali też wszystkie książki, które wuj chował u siebie pod materacem.

Teraz wuj siedzi w więzieniu i nie wiadomo, kiedy go zwolnią. Za każdym razem, gdy zaczyna się o tym mówić, mama smutnie kiwa głową, a ciotka Maryna, z którą wuj Józef często kłócił się z powodu tych książek, aż czerwienieje z gniewu.

— Dobrze tak nicponiowi! Nie słuchał,

kiedy mu się przemawiało do rozumu... Buntował się przeciwko władzy! Sam sobie winien!

Ciotka Maryna również daje Nastusi cukierki; nie pachną one smarem, gdyż ciotka razem z wujkiem Kuźmą sama robi je na sprzedaż. Ciotka ma nawet własną budkę na bazarze, pełniusieńką rozmaitych słodyczy. Kiedy Nastusia przychodzi tam z mamą, ciotka za każdym razem wyszukuje najmniejszy i najbardziej czerstwy pierniczek, zdmuchuje z niego kurz i podaje Nastusi.

— Jedz, sierotko! — mówi żałośliwie, wycierając brzegiem fartucha suche oczy.

Na to wspomnienie Nastusia marszczy swoje gładkie czoło. Dlaczego ciotka nazywa ją sierotką? To prawda, że nie ma ojca, który poległ na wojnie, ale przecież ma swoją mamę! Właśnie z izby dobiega tu turkotanie jej maszyny do szycia. To matka szybciutko stębnuje wąziutkie pliski na batystowej kolorowej bluzce ozdobionej licznymi falbankami.

Nastusia, tupiąc po ziemi bosymi stopami, z rozpędu rzuciła się na rozłożoną pośrodku podwórza rogożę. Leżąc na plecach spogląda teraz w błękitne niebo. Promienie słońca niczym maleńkie pajączki pełzną po jej policzku i łaskoczą nozdrza. Co się tam znajduje w tych bezkresnych błękitach niebios? Gdzie jest Bóg? W cerkwi malu-

ją Go zawsze wśród obłoków, ale teraz niebo jest czyste i obłoków na nim nie ma, nie ma nic, prócz słońca, które podnosi się coraz wyżej i wyżej ponad ziemią. Ale pieczel Nastusia przykryła głowę brzegiem rogoży, potem odsłoniła ją znowu i przez chwilę patrzyła prosto w jaskrawo żarzącą się tarczę słońca. Kiedy znowu przykryła twarz, pod powiekami zamigotały żółte plamy, następnie stały się zielone, fioletowe i wreszcie znikły bez śladu. Zabawne! No, to jeszcze raz! I znowu odsłoniła twarz.

— Co ty tam wyprawiasz, głupia? — krzyknęła przez parkan sąsiadka. — Jeszcze oślepniesz!

„Co ona plecie? Dlaczego mam oślepnąć?" Jednakże Nastusia zaprzestała zabawy. „Jak to jest, kiedy się ślepnie? Czy ślepi zupełnie nic nie widzą? Czy to możliwe?"

Nagle poczuła, że jest głodna. Zerwała się raptownie i pobiegła do chaty. Po jasnym świetle pięknego dnia ich izba wydała jej się ponurą i pustą norą. Pękaty piec gniewnie rozdziawiał swą ciemną gardziel, z kąta, gdzie wisiały ikony, tchnęło wilgocią.

Nastusia podeszła do matki i postała chwilę, patrząc, jak z maszyny wypełzają, zupełnie jak żywe, pozszywane kawałki materiału.

— Mamo, jeść mi się chce! — powie-

działa wreszcie i pociągnęła matkę za rękaw.

— Co za ranny ptaszek! — nie przestając pracować odpowiedziała matka. — Na jedzenie trzeba sobie zarobić! Weź i ponawlekaj igły, przecież wiesz, że źle widzę.

— Zaraz, mamo!

Przysiadła na ławce obok matki i zabrała się do dobrze znanej sobie roboty. Wkrótce z dziesięć igieł z długimi białymi ogonami sterczało już w wiszącej na ścianie poduszeczce i Nastusia, teraz już śmielej, przypomniała znowu:

— No, mamo! Daj mi coś do jedzenia.

Ale matka mruknęła:

— Nie nudź! Widzisz przecież, że nie mam czasu.

Dziewczynka nie wiedziała, że matka przez całą noc siedziała nad pliskami i falbankami, byle tylko zdążyć na czas i oddać w porę zamówioną robotę, przycichła jednak obserwując, jak stuka i stuka maszyna do szycia i jak w takt tego stukania lekko dygoczą matczyne pochylone ramiona. Wreszcie matka zrobiła ostatni ścieg, wstała, wyprostowała obolałe plecy i podeszła do półki z miskami. Wzięła stamtąd bochenek chleba, odkrajała duży kawał, pokropiła piórkiem, które leżało w miseczce z olejem, i grubo posoliła solą czarną jak ziemia.

— Masz, jedz! — podała Nastusi. — Jak

zjesz, pobiegniesz do sklepiku, kupisz tam kwasku cytrynowego, a u rzeźnika weźmiesz trochę tłuszczu.

Włożyła córce czyściutką, własnoręcznie uszytą perkalową sukienczynę, rozczesała jasne kędzierzawe włosy drucianym grzebieniem i wsunęła do ręki kilka miedziaków.

Nastusia w podskokach wybiegła na ulicę. Bardzo lubiła spełniać matczyne polecenia. Trzeba było przejść przez całe przedmieście Połtawy zwane Kolonią i dojść aż do miasta, a po drodze widziało się tyle ciekawych rzeczy! Wzdłuż ulicy Fabrycznej ciągnie się, na przykład, zielony parkan. To willa Niemca Langera. W parkanie jest dziura i jeśli przyłoży się do niej oko, to widać wielki i piękny ogród. Pośrodku tego ogrodu stoi domek dla lalek. Jak prawdziwy! Zbity z deseczek — żółtych, zielonych i czerwonych — ma prawdziwe drzwi i okna. Nastusia nigdy nie miała własnych zabawek, oprócz zrobionej z gałganków lalki, którą owijała w różnokolorowe szmatki. Toteż trudno jej było oderwać zachwycone i zazdrosne oczy od tego cudownego domku!

Z westchnieniem ruszyła w dalszą drogę. Kupiła wszystko, co jej kazała matka, i bez pośpiechu wracała do domu, ssąc z rozkoszą kawałek kwasku cytrynowego, od którego cierpło podniebienie, a dziewczynce

zdawało się, że trzyma w ustach dojrzałą jagodę berberysu.

W domu czekały już na nią gorące kartofle na oleju i jak zawsze wydawały się nad podziw smaczne. Mama nie zdążyła nawet siąść do stołu, a już gliniana miska była pusta. Nałożyła więc drugą porcję kartofli, ale Nastusię jakby wiatr zdmuchnął. Pośpiesznie, oblizując obsypane solą palce, wybiegła na dwór, skąd dobiegał pisk Baśki, córki sąsiadów, i dźwięczał czyjś niepohamowany śmiech. Będą się teraz bawić w komórki do wynajęcia, w chowanego i różne inne gry, aż im się to znudzi i aż nagle ktoś zawoła:

„Lećmy na Stromą Górę!"

I gromadka dzieciaków z krzykiem i gwizdem pomknęła w dół ulicy, przebiegła łąkę i znalazła się nad małą rzeczułką Tarapuńką. Rósł tam łopian, wysoki jak las, o liściach szerokich niczym parasole. Dzieci rozpierzchły się wśród zarośli łopianu, przypominających gąszcz nieprzebytej dżungli. I zaraz zaczęła się gorączkowa praca. Rwały całe naręcza traw, robiły z nich posłania i stoły, które nakrywały największymi liśćmi łopianu. W ten sposób powstawały iście królewskie komnaty!

Nie zauważyły nawet, że słońce już zaszło za Stromą Górę. Czas do domu! Dzieci wydostały się z gęstwiny łopianu i poszły

drogą obok pola, na którym rosło gęste jedwabiste proso.

— Schowajmy się w prosie! — zawołała Baśka.

— Chowajmy się! Chowajmy! — zawtórowała reszta.

I cała gromadka w mgnieniu oka znalazła się w prosie, kryjąc się wśród jego miękkich zielonych fal.

Nagle z pobliskiej drogi dobiegł czyjś zagniewany okrzyk:

— Ach, wy, obwiesie! Proso deptać? Ja wam pokażę!

Na ten niespodziewany głos dzieciaki, niczym wróble przed jastrzębiem, rozpierzchły się na wszystkie strony. Uciekały potykając się w ciemnościach, padały kalecząc sobie kolana. Zwinna i szybka Nastusia pierwsza znalazła się na swojej ulicy. Za sobą słyszała tupotanie czyichś nóg, ale nie obejrzała się nawet, przebiegła podwórko i zdyszana, spocona, wpadła do izby.

Przy bladym świetle lampy naftowej nie od razu dostrzegła matkę siedzącą na ławce. Jednakże już od progu jej wrażliwe dziecięce serce odczuło smutek panujący w izbie. Z uczuciem skruchy powoli zbliżyła się do stołu, gotowa pokornie wysłuchać wszelkich wymówek, byle tylko nie widzieć bolesnego smutku na matczynej pochylonej twarzy.

Ale matka nie robiła żadnych wymówek

i to było jeszcze gorsze. Nastusia postała chwilę i zajrzała matce przez ramię, aby zobaczyć, co ona trzyma w rękach. Poznała od razu: była to zdjęta ze ściany fotografia w czarnej ramce. Matka nie odrywała oczu od postaci wąsatego żołnierza w mundurze z naramiennikami i dwugłowym carskim orłem na sprzączce szerokiego pasa.

Nastusia wiedziała, że to jej ojciec. Była jeszcze małą dziewczynką, kiedy został powołany do służby wojskowej. W zeszłym roku obie z mamą spodziewały się powrotu ojca do domu, ale w sierpniu 1914 roku wybuchła wojna i ojca posłano na front, skąd już nigdy do nich nie wróci! Nigdy! I dziewczynka nagle zrozumiała całą głębię matczynego bólu. Zapomniawszy o swojej winie, w porywie gorącego współczucia mocno objęła matkę. Ta zapłakała cicho, wzięła córkę w ramiona, posadziła na kolanach i zaczęła powoli kołysać, tak jak się kołysze małe dziecko. Przytulona do matki, Nastusia zamknęła oczy i wkrótce zasnęła mocnym zdrowym snem...

Brzemię nieszczęścia

Pewnego ranka — Nastusia miała już dziewiąty rok — obudził ją niezwykły gwar panujący w ich izbie. Pełno tu było ludzi. Przyszła między innymi stara Szewczycha,

u której mama z Nastusią podnajmowały izbę, a także sąsiadka Dunia, która mieszkała naprzeciwko. Wszyscy otaczali posłanie matki i Nastusia, nic nie rozumiejąc, spoglądała na sąsiadów okrągłymi z przerażenia oczami.

Nagle z ławy, na której leżała matka, dobiegły ją bolesne jęki...

— Mamo! — krzyknęła rozpaczliwie i zerwała się z posłania.

— Czego krzyczysz, głupia? Twoja mama jest chora — powiedziała sąsiadka Dunia podprowadzając Nastusię do ławki.

Matka leżała na boku z dziwnie podwiniętą pod siebie ręką i odrzuconą głową. Oczy miała zamknięte, na białej szyi leciutko podnosił się i opadał sznurek czerwonych korali.

Nogi Nastusi zdawały się przyrastać do ubitej z gliny podłogi. Stała nieruchomo, nie mogąc oderwać spojrzenia od sznurka korali na matczynej szyi.

Nagle dał się słyszeć tupot nóg, jakieś głosy, stuk drzwi w sieni. Jacyś ludzie wynieśli matkę z chaty, położyli na wóz i przez całe miasto zawieźli do szpitala.

Nastusia została sama. Nikt się nią nie interesował, tylko czasami sąsiadka przynosiła jej trochę rzadkiej polewki w czarnym od sadzy glinianym garnczku. Toteż co dzień rankiem Nastusia biegła na zarosłą burzanem pustosz, zrywała tam i gryzła

liście wilczomlecza i szczawiu, łaziła po drzewach w poszukiwaniu oliwek. Jednakże im bliżej południa, tym głód bardziej dawał się jej we znaki. Towarzysze zabaw, jeden po drugim, rozbiegali się po domach odprowadzani smutnym spojrzeniem dziewczynki, aż wreszcie ona sama ruszała w drogę — szła do szpitala, aby odwiedzić matkę.

Do szpitala było daleko. Droga wiodła najpierw przez strome zaułki aż do ulicy Kolonijskiej, obok bursy i seminarium, gdzie wychodziło się na ulicę Archijerejską. Była to już prawdziwie miejska ulica, brukowana, z wąskimi drewnianymi chodnikami. Po obu jej stronach, jak wszędzie w Połtawie, rosły wysmukłe topole i ciągnęły się rowy zarosłe trawą. Skręciwszy w ulicę Ostrogrodzką podchodziło się do okrągłego jak misa parku, otoczonego zewsząd pierścieniem kamiennych wysokich domów z kolumnami. Tutaj zaczynała się ulica Aleksandrowska, szeroka i ruchliwa, gdzie pełno było zasobnych i pięknych sklepów. „Ile tutaj sprzedają smacznych rzeczy! — myślała Nastusia. — Pierożki, ciastka, pierniki, cukierki!" Szczególnie przyciągała jej uwagę piekarnia, której wystawę zdobił ogromny, dobrze wypieczony rogal. „Ale olbrzym! Na tydzień by wystarczył!"

Pewnego dnia, kiedy właśnie przyglądała

się z zachwytem temu rogalowi, poczuła na sobie czyjś uważny wzrok. Obejrzała się. Stał za nią nieznajomy starszy pan w białym kapeluszu, z gęstą rozłożystą brodą. Ten pan wyjął z kieszeni srebrną monetę i rzekł:

— Weź, dziewczynko.

Nastusia cofnęła się.

— Nie jestem żebraczką! — powiedziała z dumą i poczerwieniała ze wstydu.

— To nic, weź! — rzekł starszy pan. — Kupisz sobie obwarzanków.

Twarz miał poważną, bez uśmiechu, a spojrzenie tak dobre i pełne wyrozumiałości, że Nastusia nabrała odwagi i czując, że nie ma w tym nic poniżającego, wzięła pieniądz, zacisnęła w ręce i uciekła, jakby ją ktoś gonił.

Długo trwa wędrówka Nastusi po Połtawie. Przechodnie obojętnie mijają dziewczynkę w brudnych łachmanach, o bledziutkiej, niemal przezroczystej twarzyczce, z płonącymi z głodu oczami i dawno nie rozczesywanymi jasnymi kędziorami. Oto wysoka, szczupła pani idzie drobnym kroczkiem, głośno stukając obcasikami; ma na sobie długą spódnicę, na głowie olbrzymi kapelusz, ozdobiony całym bukietem sztucznych kwiatów, a na rękach — sięgające aż do łokci — czarne przejrzyste rękawiczki bez palców. Pani tuli do piersi malutkiego puszystego pieska i przechodząc obok Na-

stusi z odrazą unosi rąbek długiej spódnicy.

„Phi, wielka mi pani! — niechętnie myśli Nastusia. — Poczekaj tylko! Wuj Józef mówił, że burżuje już niedługo będą się rządzić!"

Gdyby wuj Józef był tutaj! Wszystko wtedy wyglądałoby inaczej. Ale zesłano go na katorgę, gdzieś na Syberię, i on nawet nie wie, że Nastusia już trzeci tydzień mieszka sama, a ciotka Maryna zupełnie o niej zapomniała.

Zamyślona Nastusia bezwiednie skręca na ulicę Gogola. Lubi tę cichą ulicę z chodnikiem wyłożonym kamiennymi płytami. Dziewczynka skacze z zapałem z płyty na płytę, starając się nie dotykać dzielących je ciemnych linii. W skupieniu stawia bose stopy tak, żeby trafić w sam środek kamiennej kwadratowej płyty. Pochłonięta tą dziecinną zabawą na chwilę zapomina o wszystkim: i o chorej matce, i o tym, że tak bardzo jest głodna.

Tymczasem nad miastem stopniowo rozpościera się upalne czerwcowe południe. Ludzie i konie poruszają się ospale, nawet muchy leniwie krążą nad skrzynką pełną zgniłych owoców, którą właściciel sklepu wystawił wprost na ulicę. W tej skrzyni — Nastusia dobrze o tym wie — znajdzie się coś do zjedzenia nie tylko dla much. Pochylona, zaczyna szybko wybierać ze

skrzynki na wpół zgniłe, przejrzałe wiśnie. Chciwie chwyta wargami jagody, jedną po drugiej, zaledwie zdążając wypluwać pestki. Podbródek i ręce ma czerwone od wiśniowego soku.

Wytarłszy ręce o spódniczkę Nastusia idzie dalej. Szpital! Nareszcie! Wzdłuż całej ulicy ciągnie się pobielony parkan. Za tym parkanem wśród starych rozłożystych topoli widnieją kamienne, poczerniałe od starości, pawilony szpitalne. Minąwszy odemknięte żelazne wrota, dziewczynka przecina podwórze i pewnym krokiem dochodzi do dobrze znanych drzwi. Wiele już razy szła tymi schodami na górę nie zatrzymywana przez nikogo — zarówno salowe, jak i pielęgniarki znają ją dobrze i bez sprzeciwu wpuszczają do chorej.

Nastusia na palcach przechodzi między rzędami łóżek, aż do samego okna w kącie sali, gdzie leży jej matka oparta na wysoko ułożonych poduszkach. Jest bardzo zmieniona — ma głęboko zapadnięte oczy, a jej chude ręce spoczywają bezsilnie na grubej szpitalnej kołdrze. Ujrzawszy Nastusię z wysiłkiem unosi się nieco na łóżku, opiera na łokciu i wyciąga spod poduszki kotlet zawinięty w papier. Co dzień matka zostawia dla Nastusi część swego mizernego szpitalnego obiadu. I za każdym razem, spoglądając na jedzącą córkę, wyciera łzy rękawem szpitalnej koszuli.

— Co się z tobą stanie, córeczko, kiedy mnie nie będzie? — szepcze ze smutkiem drżącymi zbielałymi wargami.

Czasami ten szept dociera do Nastusi, i wtedy czyjaś ręka zdaje się ściskać ją za gardło. Z trudem przełknąwszy ostatni kęs kotleta przytula się gwałtownie do matki.

— Nie umieraj, mamo, nie umieraj! —

woła z rozpaczą, kryjąc mokrą od łez twarzyczkę pod grubą matczyną kołdrą.

— Nie płacz — słyszy Nastusia nad sobą cichy głos staruszki — salowej. — Da Bóg, i twoja mama wyzdrowieje... Pan Bóg jest miłosierny, zlituje się nad tobą.

Łagodne słowa staruszki głęboko zapadają w serce Nastusi. To prawda! Nieraz przecież słyszała, że Bóg jest dobry i wszechmocny. „Chyba nie będzie Mu trudno uratować mamę?" — pytała sama siebie.

W ciągu całej powrotnej drogi do domu Nastusia bez przerwy myślała o Bogu i po raz pierwszy w życiu modliła się doń szczerymi własnymi słowami: „Boże, uczyń tak, żeby moja mama nie umarła! Przecież Ty wszystko widzisz! Przecież Ty wiesz, jak mi źle bez mamy! Zrób, żeby mama wyzdrowiała!"

Ale Bóg nie wiadomo czemu nie spieszył się ze spełnieniem tej prośby. Stan matki pogarszał się ciągle, aż nastał dzień, kiedy już nie mogła się podnieść na powitanie córki. Z trudem uniósłszy ciężkie nieposłuszne powieki, poprosiła słabym szeptem:

— Lodu, daj mi lodu...

Nastusia przysiadła na brzeżku krzesła i posłusznie zaczęła podawać matce przejrzyste i ostre kawałki lodu leżące obok na talerzu. Kawałek po kawałku, kawałek po kawałku, dopóki na talerzu nie zostało już nic...

A następnego dnia sala szpitalna powitała dziewczynkę niezwykłą ciszą. Matka leżała nieruchomo, wyprostowana, przykryta białym prześcieradłem.

„Na pewno śpi" — pomyślała Nastusia, usiłując zagłuszyć w sobie niejasne uczucie lęku. Zbliżyła się niezdecydowanie i stanęła przed posłaniem matki.

Kobiety na sąsiednich łóżkach podnosiły się i ze współczuciem kiwały głowami.

— Odsłoń i zobacz — powiedziała któraś.

Nastusia wahała się chwilę, potem odważyła się jednak i z lękiem odsłoniwszy prześcieradło spojrzała na twarz matki. Ta twarz wydała jej się obca, dziwnie obojętna i chłodna. Serce dziewczynki przeszył straszliwy ból. Nie mogła znieść tej dziwnej obojętności w ukochanych i tak dotąd bliskich rysach znajomej twarzy. „Nie, nie! — pomyślała — mama zaraz, natychmiast, otworzy oczy, coś powie i uśmiechnie się do mnie!"

— Mamo, mamusiu! — krzyknęła rozpaczliwie i z całej siły potrząsnęła matkę za ramię.

Ale matka milczała i tylko jej głowa opadła na bok.

Wtedy dopiero Nastusia zrozumiała wszystko. Stała się rzecz straszna, nieodwracalna, nie do naprawienia... Mama nie żyje! Bóg jej nie uratował! Dlaczego? Przecież

Bóg jest miłosierny i wszechmocny! Dlaczego tak ciężko ukarał Nastusię?...

W niemej rozpaczy dziewczynka przywarła do nieruchomego ciała zmarłej matki.

Sieroca dola

Nastusia została teraz sama, jak liść na wietrze. Jacyś ludzie zanieśli matczyną trumnę na cmentarz, zabili ją wielkimi gwoździami i na płóciennych pasach spuścili do głębokiego dołu. Potem zasypali ten dół świeżo wykopaną żółtą gliną i rozeszli się każdy w swoją stronę.

Zapłakana, długo chodziła po cmentarzu między porosłymi wypaloną trawą mogiłkami, aż wreszcie dowlokła się do domu. Zza ściany, gdzie mieszkała gospodyni, dolatywały wesołe głosy i pijany śpiew. Urządzono tam stypę po zmarłej matce Nastusi, Bożej słudze, Annie, która zeszła z tego świata.

O Nastusi nikt nie pamiętał. Cichutko jak myszka przesiedziała aż do wieczora w swojej pustej i smutnej izdebce.

A wieczorem przyszła ciotka Maryna, zabrała pozostałe po matce rzeczy i gniewnie mrucząc coś o sierocie, która jej spadła na kark, zaprowadziła Nastusię do siebie. Ciotka mieszkała przy ulicy Kolonijskiej, w niedużym, pobielanym domku, składającym się z dwóch pokoi. Jedną izbę zajmo-

wała ciotka z wujem, drugą nazywano „warsztatem". Było to obszerne pomieszczenie z szerokim i niskim piecem oraz długim stołem przysuniętym pod samą ścianę. Na stole leżał marmurowy blat, wuj Kuźma wałkował na nim gorącą, przejrzystą jak szkło bryłę roztopionego cukru, z której robiono karmelki. W tym „warsztacie" na stosie jakichś starych worków sypiała Nastusia.

Bardzo wcześnie, jeszcze przed świtaniem, spędzano ją z tych worków i w „warsztacie" zaczynała się praca. Dla Nastusi praca ta była zbyt ciężka i ciotka Maryna, przechodząc obok niej z zakasanymi aż po łokcie rękawami krzyczała gniewnie:

— Wynocha stąd! Nie plącz mi się pod nogami!

Dziewczynka pospiesznie ustępowała jej z drogi, gdyż wiedziała, że ciotka patrzy na nią niechętnie, kęsa chleba żałuje i już nie nazywa sierotką jak dawniej.

— To ci ladaco! Nędzota zatracona! — słyszała ciągle i tylko wuj Kuźma, zawsze lekko podpity, ale dobry, gładził ją czasami po głowie.

— Nie martw się, córeńko! — powtarzał. — Bóg da, że i do ciebie los się uśmiechnie.

Ale Nastusia już nie wierzyła w to, że Bóg jej pomoże. Nie chciał przecież uratować mamy. Toteż kiedy wieczorem ciotka

kazała jej uklęknąć przed ikonami i modlić się głośno, pochylała tylko głowę, ale milczała ponuro. Ciotka z razu krzyczała na nią i targała za uszy, ale potem machnęła ręką.

— Nie dziecko, ale jakiś wyrodek! — skarżyła się sąsiadkom. — W Józefa poszła, tego katorżnika. Ten nicpoń nawet nie przeżegnał się nigdy!

Za to ciotka była bardzo pobożna. W jej pokoju cały kąt świecił się od pozłacanych ikon, przed którymi w dzień i w nocy płonęła lampka oliwna. Ciotka nosiła na szyi słynącą cudami malutką ikonę i znała całą masę modlitw. Ale do cerkwi chadzała rzadko — nie miała na to czasu. Któż by ją zastąpił w budce na bazarze, gdyby spędzała czas w cerkwi na modlitwach?

W dni targowe ciotka starannie liczyła i własnoręcznie układała w wielkich koszach towar przeznaczony na sprzedaż. Potem zamykała domek i dumnie szeleszcząc wspaniałą, szeroką spódnicą wyruszała z wujem Kuźmą na bazar. Nastusi nie brała ze sobą w obawie, żeby ta czasami nie zjadła jednego czy dwóch cukierków, za które można było przecież otrzymać pieniądze.

Dziewczynka zostawała przed zamkniętą chatą, a potem, niepostrzeżenie dla siebie samej, wychodziła na ulicę. Szła i wciąż zdawało jej się, że za którymś rogiem spot-

ka matkę. Wiedziała, że to niemożliwe, ale gdy tylko dostrzegła kobietę w granatowej sukience w białe groszki, biegła ku niej i zaglądała jej w twarz. Patrzyły na nią jakieś zdziwione obce oczy, widziała nieznajome, pomarszczone policzki i ból ściskał jej serce. Cofała się zasmucona, ale już po chwili znowu szukała w tłumie, czy nie zobaczy gdzieś granatowej sukienki w białe groszki?

Miasto ostatnio zmieniło się bardzo. Na ulicach nie widać już było spokojnie spacerujących wytwornych pań i panów. Eleganckie sklepy świeciły pustymi wystawami. Za to przed drzwiami piekarń stały tłumy — pełno było kobiet w białych chustkach i zwykłych spódnicach, granatowych, brązowych, czarnych.

Zmęczona, z opuszczoną głową, wracała z powrotem. Nogi same wiodły ją na ulicę, gdzie dawniej mieszkała z matką, do dawnych towarzyszy zabawy, do Baśki. Tu, wśród znajomych twarzy, nie odczuwała tak dotkliwie swojej samotności. Przyglądała się, jak dzieciarnia fika koziołki na stosach opadłych liści, i jej blada twarzyczka, o jasnych, niemal niewidocznych brwiach, ożywiała się nieco i uśmiech rozchylał wąskie, zwykle mocno zaciśnięte wargi.

Tymczasem Baśka, córka Mowczanów, która jak zawsze wodziła rej we wszystkich zabawach, wołała:

— Luba! Nastka! Chodźcie tutaj. Rozpalimy ognisko.

I oto już trzaskają suche liście, skręcają się w żółte ogniste kółeczka, a w gorącym popiele pieką się smaczne, małe płocie. A kiedy nad miastem gęstnieją chmury i drobne krople szarej jesiennej mgły osiadają na trawie, dziewczynki wdrapują się na strych domku Mowczanów i tam, przytulone do ciepłego komina, grają w kamyki dopóty, aż z sieni rozlegnie się głos Basi mamy wołającej na obiad. Wtedy ze śmiechem zbiegały na dół, przy czym Nastusia na próżno starała się przemknąć cichaczem na podwórze, gdyż Baśka siłą wciągała ją do chaty. Zapach gorącej strawy nęcił i kusił, powstrzymywały jednak wstyd i nieśmiałość i Nastusia opierała się przyjaciółce, trzymając się kurczowo framugi drzwi.

— Bardzo dziękuję, ale nie jestem głodna — odpowiadała grzecznie na zaproszenie gospodyni.

— Siadaj i jedz, a dziękować będziesz potem — mówiła mama Basi. — Dobrze wiem, jak to jest, sama rosłam sierotą...

Wreszcie Nastusia siadała obok Baśki i obydwie na wyścigi wyciągały z miski wielkie szare kluski.

Do domu ciotki Maryny Nastusia wracała niechętnie. Wolałaby do wieczora moknąć gdzieś na deszczu, byle tylko nie po-

kazywać się jej na oczy. Z góry wiedziała, że ciotka od razu przywita ją wymysłami:

— Gdzie się włóczyłaś do tej pory? Tylko byś się wałęsała po mieście, diabelskie nasienie!... Czas już chyba zabrać się do jakiejś pracy!...

I ciotka znalazła wreszcie dla Nastusi robotę — kazała jej zawijać cukierki. Teraz, idąc na bazar, zamykała dziewczynkę w „warsztacie" wraz ze stosem starannie przeliczonych karmelków i całą masą kolorowych bibułek. Długie godziny siedziała Nastusia pochylona nad stołem, a w jej rękach bez przerwy szeleściły kolorowe papierki. I zdawało jej się, że kochający głos matki, żarty wuja Józefa, wesołe zabawy z Baśką — że wszystko to było tylko pięknym snem.

Jednakże Baśka istniała na jawie, gdyż pod koniec zimy Nastusia pewnego dnia usłyszała stukanie w okno i ujrzała rozpłaszczony na szybie zadarty nosek i okrągłe piegowate policzki przyjaciółki.

— Dlaczego wcale do nas nie przychodzisz? — zabrzmiał za oknem głos Baśki.

— Ciotka mnie nie puszcza. — Nastusia także przywarła do szyby. — Każe zawijać cukierki.

— Rzuć to i chodź lepiej ze mną!

— Nie mogę iść, bo mnie ciotka zamknęła na klucz.

— To wyłaź oknem.

— Coś ty! Ciotka mnie zbije...

— Ciotka się nie dowie — zaterkotała Baśka. — Nie będziemy długo! Zanim twoi wrócą z bazaru, ty już będziesz z powrotem. Wyłaź, nie bój się!

„Tak, dobrze jej mówić! — myślała Nastusia. — Gdyby mieszkała u ciotki, a nie u matki, toby na pewno bała się tak samo jak ja... A zresztą Baśka jest taka bojowa... Może by naprawdę wyjść bez pytania... No, w gruncie rzeczy, co w tym złego?... Przespaceruję się trochę i zaraz wrócę".

Pragnienie wyrwania się z pustego „warsztatu", choćby na chwilę, pokusa spaceru z Baśką były tak silne, że Nastusia odważyła się w końcu. Włożyła matczyny watowany kaftan, owinęła głowę chustką i wylazła przez okno.

— Prędzej, prędzej — poganiała ją zziębnięta Baśka, tupiąc dla rozgrzewki starymi bucikami.

Wreszcie wybiegły na ulicę.

— Dokąd idziemy, Basiu? — spytała Nastusia.

— Do mojej siostry Ulany na plac Sienny. Niańczę jej dziecko i mieszkam teraz u niej — odpowiedziała nie zwalniając biegu. — Żebyś ty wiedziała, co się tam teraz dzieje, na placu Siennym! Pełno ludzi! Wszyscy noszą czerwone wstążeczki i strasznie się cieszą... Naprawdę! Jak Boga ko-

cham! Przecież nie ma już cara, zrzucono go z tronu!

— Głupstwa wygadujesz, Baśka! — zawołała Nastusia, biegiem doganiając przyjaciółkę.

— Przysięgnę na krzyż, jeżeli mi nie wierzysz! Nie ma już cara, a jest wolność! Ojciec mówi, że jak nie ma cara, to teraz koniec z panami.

— Ja wiem! — przytaknęła Nastusia. — Wuj Józef też tak mówił. Czytał o tym w książkach! Ciągle siedział nad książkami. I mnie też uczył czytać!...

— Umiesz? — z niedowierzaniem podjęła Baśka. — No, to przeczytaj, co na tym szyldzie napisane? Potrafisz?

— „Sklep ko-lo-nial-ny Rowiń-skie-go" — przesylabizowała Nastusia. — A widzisz!

— A to fajnie — pochwaliła Baśka. — Ja też będę się uczyć. Tato powiedział, że pójdę do szkoły.

Na placu Siennym zebrał się rzeczywiście taki tłum, że trudno się było przecisnąć. Szczególnie wielu było żołnierzy, którzy tym razem nie maszerowali, nie krzyczeli „Niech żyje!" ale otaczali zwartym szarym murem niewysokiego człowieka w filcowym kapeluszu i słuchali go uważnie. Dziewczynki przemknęły pomiędzy domami i wlazły na jakiś ganek. Stamtąd dobrze było widać całą postać mówcy i jego gęstą rozłożystą brodę.

„O, to przecież ten sam pan, którego spotkałam latem! Dał mi wtedy srebrny pieniądz" — pomyślała Nastusia i szturchnęła łokciem przyjaciółkę.

— Baśka, ja znam tego pana!

— Wszyscy go znają — odezwała się stojąca obok ciemno ubrana starsza pani. — To przecież pisarz Korolenko!

Nastusia z ukosa spojrzała na starszą panią i nic nie powiedziała. Nie bardzo wiedziała, co znaczy słowo „pisarz". Ale to na pewno jakiś dobry człowiek; tak serdecznie odniósł się wtedy do niej, małej bosonogiej dziewczynki. I jeżeli on tu teraz przemawia do żołnierzy, a ci go słuchają, to chyba prawdę mówi Baśka, że już nie ma cara! Car nie pozwoliłby żołnierzom słuchać pisarza Korolenki, ale posłałby wszystkich na front, skąd wielu nie wróciłoby już nigdy, jak nie wrócił ojciec Nastusi. A pisarza Korolenkę wsadziłby do więzienia, jak wuja Józefa...

W powrotnej drodze Nastusia aż podskakiwała z radości na myśl, że wreszcie jest wolność, bo cara zrzucono z tronu. Zupełnie przy tym zapomniała, że ciotka już na pewno wróciła do domu i straszliwie gniewa się na nią. Pędem wbiegła do chaty, żeby się podzielić z wujostwem tą ważną, najświeższą nowiną, ale ciotka przywitała ją groźnym wrzaskiem:

— Gdzieś ty była? Jak śmiałaś wyłazić przez okno?!

— Cioteczko! Byłam na placu Siennym! Nie ma już cara. Zrzucili go z tronu — jednym tchem wypaliła Nastusia.

Ale twarz ciotki od tej nowiny wcale nie złagodniała.

— Zrzucili! Zrzucili! — rozwrzeszczała się na dziewczynkę. — Nie bądź taka mądra. Bez ciebie mądrych dosyć! Cały świat przewrócili do góry nogami! Idź i kończ swoją robotę!

I od tych słów świat, który tego dnia naprawdę przewrócił się dla Nastusi do góry nogami, stanął znów na swoim miejscu.

W milczeniu weszła do „warsztatu" i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Wuj Józef

Nastusia nawet nie zauważyła, kiedy nadeszło lato. Zdawało się, że dopiero niedawno pojawiły się na krzakach bzu pierwsze pączki, a już rozkwitła biała akacja. Jej odurzający i przyjemny zapach unosił się nad Kolonią. Nastusia spoglądała na kwitnące gałęzie i myślała o tym, jak dobrze byłoby narwać pełne naręcze białego kwiecia, a potem usiąść razem z Baśką na trawie i wysysać jego słodki sok... Ciekawe, czy Baśka jest w domu? Dawno się

nie widziały, gdyż Baśka wciąż jeszcze niańczyła dziecko swojej siostry. Ale dzisiaj jest niedziela, więc na pewno przyjdzie do rodziców.

Nastusia skierowała powolne kroki w stronę furtki. Z powodu niedzieli ubrała się odświętnie, zaplotła nieposłuszne kędziory w dwa cienkie warkocze i włożyła stare podarte bucięta. Wprawdzie palce nóg wyglądały z nich ciekawie na świat boży, ale zawszeć tak było przyzwoiciej niż całkiem boso.

Przed furtką, na ławeczce, siedziała ciotka Maryna i gryząc pestki słonecznika wygrzewała na słońcu zbolałe kości. Dziewczynka nie zdążyła otworzyć ust, żeby zapytać, czy może iść do Baśki, kiedy nagle zjawiła się stara Szewczycha, u której kiedyś mieszkała Nastusia ze swoją mamą.

— Dzień dobry! Zdrowia życzę przy świętej niedzieli — powiedziała zatrzymując się przed ciotką Maryną. — Niech Bóg da wam wszelakiej pomyślności i szczęścia!

— Dziękuję i wam tego samego życzę — uprzejmie odrzekła ciotka. — Siadajcie!

— Usiądę, bom się zmęczyła idąc z cerkwi. A to kto, czy nie Anny nieboszczki córka? — wskazała Szewczycha na Nastusię.

— Tak, niestety — westchnęła ciotka.

— To ona tu u was mieszka?

— A gdzie się podzieje?

Stara Szewczycha ze współczuciem pokiwała głową:

— Teraz takie czasy, że nie każdy będzie karmił zbędną gębę. Na bazarze ceny skaczą, że nic kupić nie można, bo i o zarobek coraz trudniej.

— Święta prawda — podchwyciła ciotka. — Ledwie koniec z końcem związać można. Wszystko, co się zarobi, idzie na cukier... A z czego żyć? Nie handel, ale same straty!...

— Ukarał nas Pan Bóg za nasze grzechy — westchnęła znowu Szewczycha. — Chyba niedługo przyjdzie koniec świata. Takie się coś wyprawia, że człowiek nic nie rozumie. Ni spokoju nie ma, ni porządku... Każdy sam sobie władza. Na ten przykład — sąsiad mój, Mowczan, oszalał na stare lata: z karabinem teraz chodzi.

„Aha — pomyślała Nastusia — to Baśka nie zełgała, że jej ojciec jest w milicji robotniczej".

— Żeby ich licho wzięło, buntowników przeklętych! — aż splunęła ciotka. — Cara zrzucili i jeszcze im mało!

— Wasz Józef też trzyma z Mowczanem — ciągnęła dalej Szewczycha.

— Jaki Józef? — zdziwiła się ciotka.

— Wasz braciszek. Czyście nie słyszeli? Już trzy dni, jak się zjawił. U Mowczana mieszka. To wy nie wiecie?

Nastusia aż zatrzęsła się cała. Wuj Józef?!

— W imię Ojca i Syna! Co wy mówicie? — zawołała ciotka. — Skąd by się tu wziął? Przecież zesłali go na Syberię!

— Właśnie wrócił. Teraz wszystkich, kogo car kazał przyaresztować, wypuszczają z więzień... To on nawet tu nie zajrzał? Nie zaszedł do rodzonej siostry?

— Bóg z nim! Bóg z nim! — zamachała rękami ciotka. — Ja go i widzieć nie chcę, nicponia...

Nastusia z ukosa spojrzała na ciotkę, oburzona, że ona wuja Józefa nawet widzieć nie chce. Sama poleciałaby do niego jak na skrzydłach! I nie panując już nad sobą zerwała się z miejsca.

— Pójdę do Baśki, ciociu! Zaraz wrócę!...

U Mowczanów na podwórzu zobaczyła matkę Basi.

— Dzień dobry — podbiegła do niej. — Baśka w domu?

— Nie, nie ma jej. Przyjdzie dopiero wieczorem.

— A... wujek Józef jest tutaj?

— Jest — uśmiechnęła się matka Basi. — Siedzi w chacie. Wejdź tam, to go zobaczysz.

Nastusia przemknęła przez sień, otworzyła drzwi do izby i cichutko stanęła w progu. Od razu ujrzała siedzącego przy stole ojca Baśki, a obok niego — niemłodego

już kolejarza o pochmurnej twarzy z szeroką blizną na policzku. A gdzie wuj Józef? Zamiast szczupłego młodzieńca z wesołymi piwnymi oczyma, siedział na stołku barczysty mężczyzna w marynarce.

Nastusia wodziła niepewnym wzrokiem po izbie, a pochmurny kolejarz ciągnął swoje:

— Na razie zrobiliśmy jeszcze bardzo niewiele. Połtawska rada jest słaba: opanowali ją rozmaici urzędnicy i o robotników rada dba niewiele.

— Źle, bardzo źle... — z wymówką powiedział barczysty mężczyzna. — Jak to się dzieje? W Połtawie mamy dziesięć tysięcy robotników, a ich głosu nie słyszy się w radzie?

— Nie zapominaj, Józefie, że w Połtawie nie ma wielkich zakładów przemysłowych — wtrącił ojciec Baśki. — A w małych fabryczkach pracują ludzie ciemni i nie uświadomieni politycznie. Niewiele można z nimi zdziałać.

— A wy, kolejarze? Przecież stanowicie tutaj potęgę! — powiedział wstając ze stołka i przechadzając się po izbie ten, którego nazwano Józefem. Jego wzrok padł na drzwi i zatrzymał się na postaci chudziutkiej dziewczynki o jasnych włosach, splecionych w dwa cienkie warkoczyki.

— Nastusia! — zawołał i dziewczynka od razu znalazła się w objęciach wuja.

— Dziecino moja droga! — wuj Józef siadł na ławce i postawił przed sobą Nastusię. — Patrzcie, jaka już duża? Nie poznałem cię!

— Ja ciebie też nie poznałam, wujku. Jesteś teraz zupełnie inny...

— Inny? — roześmiał się wuj. — A jaki? Postarzałem się czy jak?

— Ależ nie, tylko trochę posiwiałeś... I masz zmarszczki na czole — zmieszała się Nastusia i nieśmiałym ruchem, koniuszkiem palca, dotknęła jego czoła.

— No, jak ci tam jest u ciotki? — dopytywał się wuj Józef.

Nastusia, nie podnosząc oczu, wodziła po podłodze czubkiem podartego trzewika. Wuj spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

— Ciotka wciąż mi wymawia, że darmo chleb jem — powiedziała wreszcie dziewczynka. — A ja wszystko robię, co mi każą... I jeszcze zawijam cukierki...

— Tak, tak — zastanawiał się chwilę wuj Józef. — Nie martw się, Nastusiu. Już my coś wymyślimy... — I objąwszy dziewczynkę jedną ręką, wrócił do przerwanej rozmowy:

— Musimy, towarzysze, zdobyć przewagę w połtawskiej radzie! To my powinniśmy tam gospodarzyć! Przecież to nasza władza, robotnicza!

Józef wyciągnął z kieszeni gazetę i wygładził na kolanie:

— Czytaliście, towarzysze?

— Pozwól mnie, wujku! Ja przeczytam! — zawołała Nastusia i wodząc palcem po tytule przesylabizowała z przejęciem:

„Precz z mi-ni-stra-mi ka-pi-ta-listów! Cała władza w ręce Rad!"

— No, proszę! Nastusia od razu uchwyciła sedno sprawy! — roześmiał się wuj. — To właśnie jest nasze hasło w walce z Kiereńskim*.

Wuj posadził Nastusię obok siebie i ciągnął dalej swoje wywody, a dziewczynka, chociaż wszystkiego nie rozumiała, słuchała nie przepuszczając ani jednego słowa. Że Kiereński jest teraz zamiast zrzuconego cara — o tym już wiedziała. Okazuje się jednak, że Kiereński też jest po stronie panów. Czy to możliwe? Ale jeżeli wuj Józef tak mówi, to na pewno tak właśnie jest. On przecież wie! Nastusia jak zaczarowana patrzyła na wuja, gotowa słuchać nawet przez całą noc. Cóż, kiedy trzeba było wracać do domu.

— A ty przychodź tu częściej — powiedział jej wuj na pożegnanie. — Na razie zostanę tu jeszcze, jeżeli mnie nie przepędzą. — I uśmiechnął się do żony Mowczana.

---

* Kiereński Aleksander (1881—1970) działacz partii eserów, w 1917 premier Rządu Tymczasowego, obalony przez rewolucję październikową. Umarł na emigracji. (Wszystkie przypisy tłumacza).

Gdyby nie ciotka, Nastusia przychodziłaby do Basi codziennie. Ale ciotce Marynie nie wolno było nawet wspomnieć o wuju Józefie. Gdyby się dowiedziała, nie puściłaby więcej siostrzenicy do Mowczanów. Toteż Nastusia postanowiła cierpliwie czekać do następnej niedzieli. W niedzielę na pewno przyjdzie Baśka i wywoła ją na ulicę.

I Baśka nie zawiodła: przyszła po Nastusię i razem pobiegły do chaty Mowczanów. Wuj Józef siedział pod szopą na podwórzu i czyścił karabin. Kiedy usłyszał tupot bosych stóp, podniósł głowę i wytarł ręce pakułami.

— No, bosonóżko! Wkładaj buty! — I wyciągnął zza pleców parę pięknych brązowych, niemal nowych trzewików.

— Dla kogo to? — nieśmiało zapytała Nastusia.

— Dla tego, na kogo będą dobre! — wesoło mrugnął do niej wuj. — Przymierz, czy ci wejdą na nogi.

Nastusia natychmiast włożyła buciki. Pasowały jak ulał! Tupnęła nimi raz i drugi, zrobiła kilka kroków zaróżowiona z radości i spojrzała na wuja. Uśmiechnął się do niej.

— No, to świetnie! Noś zdrowo!

Przez cały dzień Nastusia ukradkiem spoglądała z zachwytem na swoje obute nogi. A trzewiczki rzeczywiście były piękne.

Spodobały się nawet ciotce Marynie i przestała się gniewać.

— Dawno tak trzeba było! Dlaczego tylko ja mam wyłazić ze skóry? Już czas, żeby i kochany wujaszek zatroszczył się o siostrzenicę.

Teraz ciotka nie broniła już Nastusi chodzić do Mowczanów, a nawet zachęcała:

— Powiedz wujkowi, żeby ci sprawił coś do ubrania. Zima nie za górami, a moje zarobki coraz gorsze!

Ale Nastusia nie chciała zawracać wujkowi głowy swoimi sprawami. Widziała, jak bardzo jest zajęty — ciągłe zebrania, posiedzenia, a kiedy wracał do domu, to i tutaj czekali na niego rozmaici ludzie.

Pewnego wieczoru, po straszliwej ulewie, Nastusia z Basią siedziały w izbie Mowczanów, gdzie jak zwykle panował gwar, wszyscy kurzyli machorkę i aż ciemno było od dymu. Mówiono o jakimś Sztopie, który nie przyszedł na zebranie komitetu, gdyż wypompowywał wodę z zalanych przez deszcz biedniackich piwnic.

— Wstyd! — spoza zasłony tytoniowego dymu rozległ się czyjś młody gniewny głos. — Zamiast zajmować się partyjnymi sprawami, Sztopa wyciąga z piwnic cudze pierzyny. Trzeba udzielić mu nagany i tyle!

I wtedy podniósł się wuj Józef, który siedział z boku na ławce.

— Głupstwa! — rzekł ostro i w izbie na-

tychmiast zapanowała cisza. — Głupstwa pleciesz, chłopcze! Z twojego gadania wynika, że partia jest sama dla siebie, a nie dla ludzi. Cóż to byłby za członek partii, który by siedział na zebraniach, a obojętnie patrzył, jak ludzi zalewa woda?! — I wuj, przechadzając się swoim zwyczajem po izbie, dodał już spokojniej: — Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musimy iść ręka w rękę z całym ludem. Zbliżają się ważne wydarzenia...

Nastusia nie dowiedziała się jednak, jakie to miały być wydarzenia. Chciała o to zapytać wuja, poprosić, żeby jej wytłumaczył, ale nigdy nie zastawała go samego. Wkrótce zresztą wuj Józef przestał w ogóle przychodzić do Mowczanów. A i ojciec Basi rzadko teraz nocował w domu.

— I co ty sobie myślisz? — robiła mu wyrzuty matka Basi, kiedy po odbyciu warty, z karabinem na ramieniu, wpadał do chaty, żeby odpocząć i wziąć coś do zjedzenia. — Przecież w domu nie ma co do gęby włożyć! Niedługo zaczniemy puchnąć z głodu!

— Nie martw się, żono. Masz tu pieniądze! — mówił Mowczan wyciągając z kieszeni paczkę kierenek *.

— Zostaw to sobie! — gniewnie odpo-

* Kierenki — pieniądze wydane przez rząd Kiereńskiego w 1917 roku.

wiadała matka Basi, ale brała pieniądze i chowała do szuflady stołu, mrucząc: — Nadrukowali tych papierków jak śmiecia, a co się za nie kupi?...

Niewesoło było więc w chacie Mowczanów, ale i w domu nie lepiej. Ciotka Maryna już od dawna patrzyła krzywym okiem na siostrzenicę, której obecność nie przynosiła żadnego pożytku. Cukierków robiło się teraz niewiele, a z domowym gospodarstwem ciotka sama dawała sobie radę. Gniewało ją, że dziewczyna darmo je chleb, o który było coraz trudniej i który ciotka, jak ciągle twierdziła, musi sobie dla niej „od ust odejmować". Dopóki Józef mieszkał u Mowczanów, nie miała odwagi pozbyć się z domu sieroty. Z chwilą jednakże, kiedy ten przestał zjawiać się na Kolonii, ciotka codziennie, stawiając przed Nastusią miskę z barszczem, powtarzała gniewnie:

— Jak długo będziesz siedziała mi na karku? Idź na służbę!

Na służbie

Pewnego ranka ciotka Maryna oświadczyła Nastusi, że znalazła dla niej służbę na ulicy Aleksandrowskiej:

— Zapleć starannie włosy i załóż brązowe buciki — rozkazała.

Sama włożyła nową spódnicę, obszytą

u dołu welwetem, narzuciła na ramiona czarny koronkowy szal i trzymając siostrzenicę za rękę ruszyła w drogę.

...Na ulicy Aleksandrowskiej pełno było ludzi i wszyscy, grupkami lub pojedyńczo, szli w kierunku parku Korpusu Kadetów. Wśród przechodniów widać było robotników w zatłuszczonej roboczej odzieży lub w granatowych wyszywanych koszulach z kołnierzami zapinanymi z boku. Widziało się też wielu panów, a nawet i panie w szalach z lekkiej gazy.

— Dokąd ci ludzie idą? — zapytała Nastusia.

— A Bóg ich tam wie! Chodź prędzej! Nie gap się! — mruknęła ciotka i skręciła w stronę Korpusu Kadetów — ogromnego gmachu, ciągnącego się niemal wzdłuż całej ulicy. Gmach ten przylegał do parku, ale do mieszkań, zajmowanych przez nauczycieli i kierownictwo Korpusu, wchodziło się od ulicy.

Nastusia wiedziała, że idą do generała Pawlenki, i ten generalski tytuł mimo woli przejmował ją lękiem. Onieśmielona, pokornie szła za ciotką. Kuchennymi schodami weszły na pierwsze piętro i znalazły się w obszernej pańskiej kuchni.

Po chwili Nastusia z ponuro opuszczoną głową stała już przed obliczem pani generałowej, osoby tęgiej, słusznego wzrostu, o bardzo białej twarzy. Pani generałowa

miała na sobie elegancką suknię, a jej rudę puszyste włosy spinał wysoko wielki grzebień. Bez słowa wyciągnęła do Nastusi rękę, ale ta tylko spojrzała zdziwiona i dopiero, kiedy ciotka szturchnęła ją szepcząc „pocałuj", dziewczynka z rozpędu boleśnie uderzyła nosem w twarde, błyszczące pierścienie, zdobiące wypielęgnowaną dłoń generałowej.

Przez dłuższą chwilę pani w milczeniu przyglądała się Nastusi. Boże, jaka ona drobna i chuda! Ręce ma cienkie jak patyki! Po prostu szkielet! Na bladej twarzy tylko oczy błyszczą żywo pod jasnymi, niemal białymi brwiami.

— Kogoś ty mi tu sprowadziła? — generałowa z oburzeniem zwróciła się do ciotki. — Przecież to dzieciak jeszcze...

— Ona jest tylko taka drobna — powiedziała kłaniając się ciotka. — Ale już wkrótce skończy dziesięć lat. Jak Boga kocham! Żebym się z tego miejsca nie ruszyła!

— Tego to ja już nie wiem — skrzywiła się generałowa — ale widzę, że pociechy z niej będzie mało.

— Niech ją pani weźmie choćby za samo jedzenie — jeszcze niżej pokłoniła się ciotka. — Dziewczyna z niej posłuszna, wszystko zrobi, co jej każą...

Generałowa zastanawiała się chwilę w milczeniu.

— Będziesz niańczyła panienkę — powiedziała wreszcie, surowo spoglądając na Nastusię. I nagle dodała: — A czy ona czasem nie ma za długich rąk?

— Broń nas, Boże! Co też pani mówi! Przecież nie przyprowadziłam pani byle kogo, ale swoją własną siostrzenicę! To sierotka, biedactwo... Niech pani będzie dla niej jak matka rodzona!

— No, dobrze, dobrze! — przerwała generałowa. — Dasza! — zawołała, niecierpliwie marszcząc brwi.

Nastusia spode łba patrzyła na panią. Ale zła! I ona ma być dla niej „jak matka rodzona..." Co też ta ciotka wygaduje!

— No, to zostań tu i słuchaj pani — zwróciła się do niej ciotka. — A ja już pójdę. Padam do nóżek pani generałowej!

— Do widzenia — niedbale odrzekła generałowa i znowu zawołała: — Dasza! Liza!

W drzwiach stanęła zgrabna dziewczyna w białym fartuszku i białym stroiku na głowie.

— Co to ma znaczyć, Dasza?! — gniewnie zwróciła się do niej pani. — Gdzieś ty była? A gdzie Liza? Wołam od pół godziny i nie mogę się dowołać nikogo ze służby! Zaprowadź tę małą do dziecinnego pokoju, ale najpierw przypilnuj, żeby porządnie wymyła ręce!

— Słucham, proszę pani — odpowiedziała Dasza. — Zaraz ją zaprowadzę, ale dzi-

siaj ani ja, ani Liza nie będziemy przy kolacji.

— A to co znowu?! — oburzyła się generałowa. — Dlaczego?

— Dlatego, że obie idziemy na wiec.

— Co ty pleciesz? Jaki znowu wiec?

— W parku Korpusu Kadetów. Niech pani wyjrzy przez okno. Stąd widać, ile tam zebrało się ludzi!

— Wybijcie sobie z głowy! Żadnych wieców! Nie ważcie się wychodzić z domu! Za dużo sobie pozwalacie!...

— Niech pani nie krzyczy — spokojnie odpowiedziała Dasza. — Już nie te czasy. I nie zmusi nas pani, żebyśmy siedziały w domu. Tak. A ty chodź teraz ze mną, dziewczyno! — zwróciła się do Nastusi.

— Cooo?! — wrzasnęła generałowa. — Jeszcze pyskujesz? Wracaj no tu! Zaraz!...

Ale Dasza, mocno trzymając za rękę przestraszoną Nastusię, zamknęła za sobą drzwi.

— Pomyślałby kto, jaka ważna... — mówiła prowadząc Nastusię do dziecinnego pokoju. — A ty nie bądź za pokorna, bo ona ci na głowę wlizie. Taka już jest. Ale prawa teraz inne — teraz rewolucja!

Dobrze tak mówić Daszy! Jest już dorosła. Na jej miejscu Nastusia za żadne skarby nie zostałaby w tym domu ani jednego dnia. Ale co ma robić? Jest jeszcze za mała, żeby samej stanowić o sobie. Może po-

tem... Może uda jej się odszukać wuja Józefa... Baśka twierdzi, że wuj pracuje na stacji i organizuje tam kolejarzy. Na razie więc Nastusia musi być posłuszna woli ciotki i pozostać tutaj na służbie.

...A służba nie była łatwa. Od dnia, kiedy Nastusia znalazła się w domu generała, nie miała ani chwili wolnego czasu. Trzeba było ciągle wypełniać czyjeś rozkazy, kogoś obsługiwać, po coś i dokądś biec. Niańczyła dziecko, ubierała je, karmiła i zabawiała przez cały dzień, ale na każde zawołanie generałowej musiała zjawiać się natychmiast. „Przynieś to, podaj tamto, zawołaj tego czy owego!" — wciąż słychać było w pokojach rozkazujący głos pani generałowej.

Następnego dnia po przyjęciu Nastusi na służbę, generałowa kazała dziewczynce zdjąć jej własną sukienczynę, a dała w zamian swoją znoszoną bluzkę i starą spódniczkę, kupioną specjalnie na bazarze. Spódnica była za długa, a bluzka za szeroka. Wisiały na Nastusi jak na wieszaku. Krótkie pasma włosów nie dawały się zapleść w warkoczyki i podczas pracy spadały na oczy. Toteż generałowa ciągle karciła dziewczynę:

— Tu ci coś wisi i tam ci coś wisi! Poprzypinaj należycie te swoje łachy i uczesz się porządnie. Kocmołuch!

Nastusia milczała zaciskając zęby, ale myślała gniewnie.

„Sama zrobiła ze mnie kocmołucha, a teraz się znęca!"

W miarę upływu czasu coraz więcej obowiązków spadało na dziewczynkę. Obie pokojówki, Dasza i Liza, często dokądś wychodziły i nie chciały spełniać licznych poleceń. Toteż generałowa coraz częściej kazała Nastusi sprzątać pokoje. Rozsiadłszy się w fotelu, śledziła pilnie, jak ta, sunąc na czworakach, kawałkiem sukna przeciera błyszczącą posadzkę w salonie.

— Wytrzyj no tam! — nawoływała. — I tutaj! Nie widzisz? Gdzie ty masz oczy?

Czasami wpadała w taki gniew, że zrywała się z fotela, chwytała klęczącą dziewczyninę za głowę i stukała tą głową o posadzkę.

Nastusia mogła odetchnąć swobodniej jedynie wówczas, kiedy generałowej nie było w domu. Siadała wtedy cichutko w dziecinnym pokoju i zabawiała małą Zoję. Pokój był przytulny, z wielkim dywanem na podłodze i dwoma czyściutkimi biało zasłanymi łóżkami. Na jednym spała trzyletnia Zoja, na drugim — jej brat Wiktor, uczeń pierwszej klasy gimnazjalnej. W tym samym pokoju sypiała też Nastusia. Stara płachta, rozkładana na noc na podłodze, stanowiła całą jej pościel.

Mała Zoja była kapryśną istotką z dłu-

gimi złocistymi lokami. Nie dawała wprawdzie Nastusi spokoju, ale też nie komenderowała nią, po prostu dlatego, że była jeszcze za mała. Budując na dywanie domy z klocków, ubierając i rozbierając lalki Zoi, Nastusia zapominała o swoim ciężkim niewolniczym losie. Szczególnie nęciły ją książki. Nigdy w życiu nie widziała jeszcze takich pięknych, kolorowych obrazków!

Oto koza, odziana w czerwoną chusteczkę i zieloną spódniczkę, stoi na dwóch tylnych nogach, a przednią nóżką żegna swoje koźlęta, które wyglądają zza drzwi chatki.

— Czytaj — pokazuje na kozę pulchnym paluszkiem mała Zoja. I Nastusia sylabizuje gorliwie:

Dziat-ki mi-łe! Och, że-gnaj-cie!
Ja na jar-mark mu-szę iść.
I ni-ko-go nie wpusz-czaj-cie,
Bo zły wilk tu mo-że przyjść!

A oto kot z wielkim puszystym ogonem, w białym fartuchu i kucharskiej wysokiej białej czapce, trzyma w łapach patelnię z bardzo długą rączką.

— Czytaj — znowu domaga się Zoja i Nastusia odczytuje z trudem słowa:

Kot kucharzem był,
Garnki czyścił, mył,

W kuchni krzątał się gorliwie,
Wrzątkiem parząc się dotkliwie.

Czasami Nastusia, znudzona tymi wierszykami, zdejmowała z półki Wiktora jakieś grube, pięknie oprawne, ze złoconymi tłoczeniami tomy i przeglądała je razem z Zoją. Było tam wiele ciekawych rzeczy: okręty na wzburzonym morzu, jacyś ludzie dziwnie ubrani, zwierzęta i ptaki, jakich nigdy nie widziała. A pewnego razu, wśród wspaniale wydanych książek, Nastusia natknęła się na niewielką i niepozorną książeczkę. Na jej okładce przeczytała: W. G. Korolenko *Niewidomy muzyk*.

Otworzyła i od razu ujrzała portret autora: znajoma gęsta broda, łagodne i mądre oczy. On! Ten sam pan, który dał jej srebrny pieniądz, pisarz Korolenko! Ciekawe, o czym on tu pisze? Co to za muzyk. I dlaczego jest niewidomy?

Zajrzawszy do książki Nastusia westchnęła — druk był tu drobny i gęsty, zbyt trudny dla niej do odczytania. Nie miała zresztą czasu przesiadywać nad książką, chociaż bardzo chciała wiedzieć, o czym pisze pan Korolenko. Chętnie przeczytałaby wszystkie wspaniałe tomy z biblioteczki Wiktora, ale mogła tylko z zazdrością spoglądać na ich właściciela, który w jadalni przy stole odrabiał zadane lekcje. Ten szczęściarz chodzi do gimnazjum, ma pełno

książek i zeszytów, ma też piękny piórnik, a ona nigdy nie trzymała w ręce zwykłej obsadki. A na pewno uczyłaby się lepiej niż Wiktor, bo on już od dwóch dni kuje zadany w szkole wiersz i nie może się nauczyć, a Nastusia, tylko słuchając jego mruczenia, już umie cały na pamięć.

Ale Nastusia wie, że wolno jej jedynie marzyć o szkole. Jest na służbie, musi więc cierpliwie niańczyć małą Zoję i słuchać bez szemrania rozkazów generałowej...

Niespokojna jesień

Ciepłe dni mijały szybko. Z okien mieszkania generała widać było, jak po przeciwnej stronie ulicy, w ogrodzie, w którym stał dom gubernatora, chwiały się na wietrze już pozłocone przez jesień korony wysokich drzew.

Niepostrzeżenie nadciągnęły pochmurne dni i zaczęły padać obfite deszcze. Ranki były chłodne i Nastusia dygotała z zimna, kiedy w swoim lekkim odzieniu wybiegała na podwórze. W pokojach było teraz nieprzytulnie i wilgotno, generałowa kazała więc po trochu przepalać w piecach. Palenie należało właściwie do obowiązków stróża, ale ten od tygodnia nie pokazywał się wcale i teraz co dzień rano, kiedy Zoja jeszcze spała, Nastusia musiała przynosić

z podwórza ciężkie polana brzozowych drew i palić w kaflowych piecach. Musiała przy tym poruszać się cichuteńko, chodzić na palcach, żeby nie zakłócić słodkiego rannego snu pani generałowej i jej męża.

Pana generała Nastusia widywała tylko podczas obiadu. Niedużego wzrostu, tęgi, w mundurze z epoletami, świecąc czerwonymi lampasami u spodni przechadzał się po jadalni i nucił ukraińską piosenkę:

Chodził arbuz po mieście,
Szukał krewnych w zajeździe.

Generał Pawlenko był Ukraińcem i lubił czasami rzucić jakieś słówko w tym — jak twierdziła jego żona — „prostackim" języku.

— Przestań już wyć te swoje chamskie, chochłackie* śpiewki — siedząc za stołem gniewnie wołała generałowa. — Prostak! Chłop!

— Lepiej teraz być chłopem niż panem — odpowiadał generał ze śmiechem. — Panów teraz nikt nie szanuje. I zapamiętaj sobie, że nie ma już chochłów, a są Ukraińcy!

— Co znowu za Ukraińcy? — krzywiła się generałowa. — Po prostu ludzie z Małorusi.

— Tak było dawniej, kiedy istniała Ro-

* Chochłami w carskiej Rosji lekceważąco nazywano Ukraińców.

sja „jedna i niepodzielna", a teraz mamy wolność.

„Jaka tam wolność! — myślała Nastusia siedząc z Zoją w dziecinnym pokoju, dokąd docierała ta wymiana zdań. — Ja na przykład chciałabym odejść od was, iść, gdzie oczy poniosą, a nie mogę ruszyć się stąd i muszę niańczyć waszą Zoję! I to jest wolność?"

Takie myśli często teraz przychodziły jej do głowy. Chociaż od śmierci matki minęło zaledwie półtora roku, Nastusia, wciąż jeszcze za drobna i za mała na swój wiek, dojrzała przez ten czas o dobre kilka lat. Dokoła kipiało życie pełne napięcia i niepokoju, a ona usiłowała zrozumieć sens tego, co się działo i badawczymi oczyma uważnie rozglądała się wokół.

W dni pogodne Nastusia wychodziła z Zoją na spacer do parku Korpusu Kadetów i szeroką aleją szła z nią aż do pomnika Sławy. Pomnik wznosił się wśród kasztanów, w samym środku parku. Podczas gdy mała Zoja skakała po stopniach granitowego cokołu, jej opiekunka z zadartą do góry głową patrzyła na złotego orła, który zdobił szczyt pomnika i trzymał w dziobie laurowy wieniec. Rozpostarłszy szeroko skrzydła orzeł dumnie spoglądał w dół, na ludzi, ale ci nie myśleli o nim. Zbierali się na rogach ulic, przy parkanach i słupach ogłoszeniowych, gdzie były po-

rozklejane odezwy i proklamacje, spierali się też o coś, żywo wymachując rękami. Kiedy Nastusia podchodziła do którejś z grupek, słyszała, że mówi się tam o jakichś partiach. Partii było tak wiele, każda z nich wypuszczała tyle rozmaitych ulotek i proklamacji, że od tego wszystkiego mąciło się w głowie. Nastusia codziennie słyszała od Daszy o jakimś Zgromadzeniu Ustawodawczym, o tym, że każda partia ma wysłać na to zgromadzenie swoich przedstawicieli, ale na kogo należy głosować, tego nie wiedziały ani Dasza, ani Liza. Jednego dnia gotowe były popierać jakichś eserowców, a już następnego — jakichś esdeków. Co za nazwy! Można sobie język połamać przy ich wymawianiu. Nastusia najchętniej głosowałaby po prostu na robotników. Na wuja Józefa!

Odezwami interesowali się zarówno ludzie starsi, jak i młodzi. Kto nie umiał czytać, ten podchodził i słuchał, gdy czytali inni. Jakaś staruszka, wysłuchawszy do końca długiej odezwy, pociągnęła za rękaw młodego chłopca w ciepłym waciaku.

— Tyś, synku, piśmienny, czytasz te papiery, a w nich pewnie wszystko napisane. Powiedz mi, co to za ludzie, co boleją nad wszelką biedotą?

— Boleją? Kto boleje? — zdziwił się chłopak.

— No, ci, co ich zwą bol... bol...

— Może bolszewicy?

— Tak, synku, tak. Oni...

— To taka partia, babciu, co walczy o prawa dla ludzi pracy, chce odebrać władzę panom i oddać ją robotnikom.

— A czy ona naprawdę tak boleje nad narodem, ta partia?

— Boleje, babciu, naprawdę boleje!

— No, to dziękuję ci, synku! Bo ja nijak pojąć nie mogłam, co to za bol... bol...

— Bolszewicy, babciu, bolszewicy!

„Bolszewicy! — pomyślała Nastusia. — Boleją nad ludźmi pracy! To pewnie i wuj Józef jest z nimi..."

Pewnego dnia, kiedy nazbierawszy z Zoją całe pęki jaskrawożółtych jesiennych liści, wychodziła z parku, minął je oddział uzbrojonych w karabiny robotników. Na czele szedł wysoki, postawny dowódca z naganem u pasa. Oddział tak miarowo wybijał krok na bruku ulicy, że jakiś wesoły malarz w zachlapanej farbą odzieży i z pędzlem na długim kiju w ręce, zawołał z zachwytem:

— Zuchy, kolejarze!

„Kolejarze!" Nastusia bacznie spojrzała na przechodzący oddział i nagle postać dowódcy wydała jej się jakaś znajoma. Przecież to wuj Józef!

— Wujku! — krzyknęła i rzuciła się naprzód, zupełnie zapomniawszy o Zoi. — Wujku, poczekaj!

Ale gdzie tam! Mała Zoja potknęła się, upadła rozsypując na chodniku zebrane liście i wybuchnęła głośnym płaczem. Nastusia podbiegła do niej, podniosła, otrzepała, wytarła nosek. A kiedy uniosła głowę, oddział już zniknął za rogiem.

W milczeniu, przez łzy, które mimo woli napłynęły jej do oczu, patrzyła Nastusia tam, gdzie znikł wuj Józef. Dlaczego nie wyszła wcześniej z tego parku? Dlaczego nie przyjrzała się lepiej i nie poznała od razu swojego wuja? A teraz nie wiadomo, kiedy spotka go znowu. Nie wie nawet, gdzie go szukać. Nie wolno jej zresztą na długo wychodzić z domu. A tak pragnie porozmawiać z wujem! Tylko on jeden na całym świecie przytuli ją i użali się nad nią.

Pocieszała się myślą, że może ten oddział jutro także przejdzie tędy? Może jutro uda jej się wreszcie spotkać wuja Józefa?

Ale na próżno wypatrywała oczy. Nie zobaczyła więcej ani oddziału, ani jego dowódcy. W mieście było coraz niespokojniej, ciągle słychać było tętent kopyt końskich, widziało się galopujących jeźdźców i słyszało częste wystrzały. Pani generałowa zabroniła Nastusi chodzić z Zoją do parku.

Zabawiając Zoję Nastusia przez nie domknięte drzwi jadalni często słyszała rozmowy pani generałowej z jej mężem, który

ostatnio, nie wiadomo czemu, dłużej w ciągu dnia przebywał w domu.

— Dasza i Liza zrobiły się nieusłuchane — skarżyła się pani. — Znikają gdzieś na cały dzień. Nie ma kto posprzątać w pokojach. A bielizna leży do tej pory nie wyprasowana.

— No, cóż — westchnął generał. — Nie ma na to rady. Takie czasy nastały. Dobrze, że przynajmniej kucharka chce jeszcze gotować obiady.

— Jak to? — oburzyła się generałowa. — Wszelka hołota będzie teraz nami komenderować?

— Wszystko może się zdarzyć — rzekł ponuro generał. — Cała Rosja jest dziś jak pociąg, który się wykoleił... Lecimy prosto w przepaść. W Piotrogrodzie tydzień temu, 25 października, dokonano przewrotu*. Rząd Tymczasowy został obalony. Uzbrojeni robotnicy, żołnierze i marynarze, zdobyli Pałac Zimowy i aresztowali ministrów.

— O, mój Boże! — przeraziła się generałowa. — A co z Kiereńskim?

— Uciekł. Niech go diabli! Zasłużył sobie na to. On jest wszystkiemu winien. Rozpuścił naród! A teraz bolszewicy ogłosili Republikę Rad!

„Republika Rad? To dobrze — myślała Nastusia nie przerywając zabawy z Zoją. —

* 25 października według rosyjskiego kalendarza, a właściwie 7 listopada 1917 roku.

W tej gazecie, co ją wuj Józef przynosił do Mowczanów, tak właśnie pisali. »Cała władza w ręce Rad!«

— Co teraz z nami będzie? — dobiegł ją znowu jękliwy głos pani generałowej.

— Co będzie? Nie wiem — odrzekł nerwowo generał. — Wiem tylko, że gdyby nie nasi Ukraińcy, w Kijowie byłoby to samo, co w Piotrogrodzie.

„Jacy znowu Ukraińcy? — zdziwiła się w myślach Nastusia. — Czyżby Ukraińcy nie chcieli władzy Rad?" Pamiętała przecież, jak wuj mówił u Mowczanów, że wszyscy robotnicy tego chcą — zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy...

— Sztab Kijowskiego Okręgu Wojskowego już nie istnieje — ciągnął generał swoim głośnym basem. — Jego wojska zostały rozgromione przez oddziały robotnicze. Ale gdzie się dwóch głupich kłóci, tam trzeci, mądry, korzysta. Wczoraj w Kijowie ogłoszono, że władzę całkowicie przejęła Centralna Rada.

— No i co? — dopytywała się pani.

— A to, że — po pierwsze — będziemy mieli niezależne państwo ukraińskie, a po drugie — na Ukrainie zjawiła się władza, która weźmie za pysk i chłopów, i żołnierzy, i robotników. A tyś się śmiała z chamskiego chochlactwa!

„Co on mówi? Jaka znowu rada w Kijowie, co to chce wziąć za pysk robotni-

ków i żołnierzy? Przecież rady są po stronie robotników, przeciwko panom! Czy bywają także rady panów?"

Nastusia nic nie rozumiała, ale nie było nikogo, kto by chciał i mógł odpowiedzieć jej na te dręczące pytania...

Nastusia pomaga rewolucji

Na początku grudnia spadł lekki, suchy, drobny śnieg. Zdawało się, że całe miasto pokryje się wkrótce puszystą bielą.

Tymczasem śnieg, ledwo dotknąwszy ziemi, topniał i tylko gdzieniegdzie, zwłaszcza pod parkanami, widać jeszcze było białe grudki, a wielkie połacie nagiej ziemi nadal smętnie szarzały pod błękitnym niebem.

Na ulicach było niespokojnie. Spieszyły gdzieś grupki uzbrojonych ludzi, od strony placu Siennego dobiegało terkotanie karabinów maszynowych, a nieliczni cywilni przechodnie chyłkiem przemykali się pod murami domów.

Nastusia, w długim, sięgającym niemal ziemi kaftanie i ciepłej chustce na głowie, wybiegła z bramy domu generała. Spieszyła do apteki po lekarstwo dla małej Zoi, która skarżyła się na bóle żołądka. Ledwie minęła plac Sienny i znalazła się na ulicy Kurakińskiej, gdy nagle skądś zjawili się jeźdźcy w zawadiacko nasuniętych na jedno

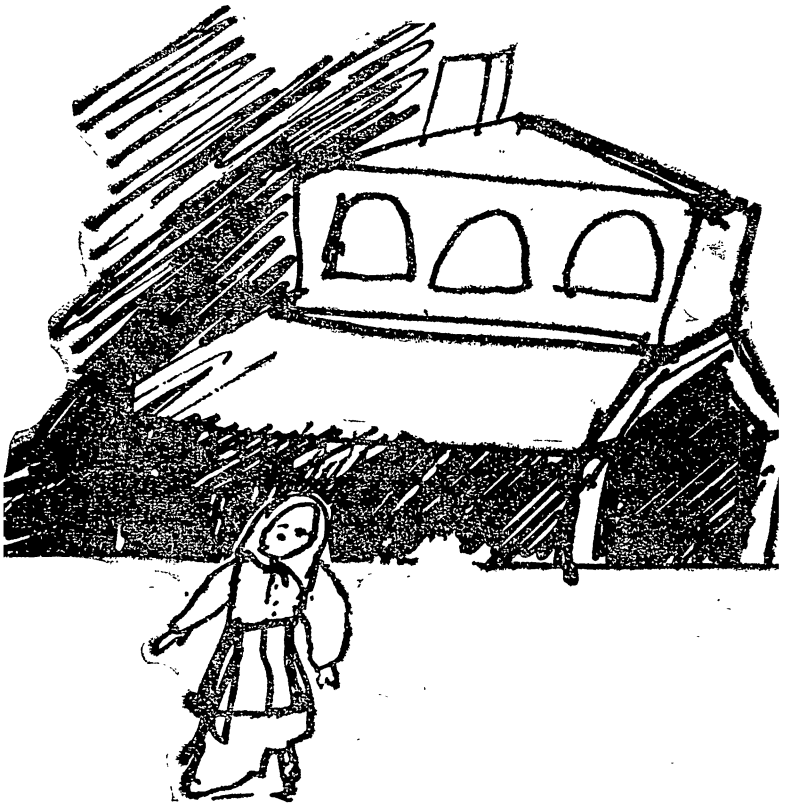

ucho barankowych czapkach, z nahajkami w rękach. Dziewczynce wydawało się, że pędzą prosto na nią. Słyszała już chrapanie koni, widziała nahajkę wzniesioną nad swą głową. Ogarnięta panicznym strachem wpadła na najbliższe podwórze i z rozpędu o mało nie przewróciła stojącego przy furtce niewysokiego krępego mężczyzny.

— Co, zlękłaś się? — powiedział łagod-

nie i wyjrzawszy na ulicę dodał: — Znowu diabli ich niosą, przeklętych hajdamaków. Ludzi straszą! — Gniewnie stuknął furtką i zwrócił się do Nastusi: — A ty dokąd lecisz, co?

— Do apteki.

Podniosła oczy i ujrzała surową twarz pooraną zmarszczkami, z szeroką blizną przecinającą cały lewy policzek.

— A ja was znam! — zawołała nagle. — Wy jesteście Paweł, kolejarz! Przychodziliście do Mowczanów razem z wujkiem Józefem.

— Z wujkiem Józefem? A ty kto jesteś? — zdziwił się mężczyzna.

— Jestem Nastusia, jego siostrzenica.

— Patrzcie no! Skąd się tu wzięłaś?

— Ja tu służę u generała Pawlenki w Korpusie Kadetów. — I dodała cicho. — Ciotka oddała mnie na służbę.

— Ach, tak! A Józef o niczym nie wie.

— Widzieliście go? — zawołała.

— Codziennie go widuję, bo on jest teraz naszym dowódcą...

— Wiem — przerwała. — Szedł raz tędy, koło parku, miał nagan u pasa, a za nim maszerowali robotnicy z karabinami na ramieniu. Ja chciałabym do wuja! Nie chcę już więcej służyć u panów! Generałowa taka zła...

I Nastusia, niespodziewanie dla samej sie-

bie, rozpłakała się głośno, jak mała dziewczynka.

— Coś ty, Nastusia! Przestań, nie płacz — zmieszał się kolejarz głaszcząc ją niezręcznie po okrytej chustką głowie. — Musisz jeszcze trochę poczekać... Wuj nie miałby cię teraz dokąd zabrać. On sam nocuje, gdzie się da... Ale to nic! Już niedługo władza będzie nasza! Musimy się tylko rozprawić z tymi zuchami, co tu przed chwilą harcowali po ulicy!

— A co to za ludzie?

— Hajdamacy, hałastra przeklęta... Darmozjady i pasożyty! Wściekają się, bo władza rad stoi im kością w gardle!

— A powiedzcie, czy bywają rady panów? Słyszałam, jak generał mówił, że w Kijowie powstała Centralna Rada, co jest przeciwko robotnikom, a broni panów!

— Prawdę mówił, ten łajdak! Jest taka rada, ale prędko zrobimy z nią koniec! Będą tylko nasze rady, rady robotników, żołnierzy i chłopów... Więc i ty nie spuszczaj nosa na kwintę. A w razie czego biegnij tutaj. Zastukaj w to okienko, najpierw trzy razy, a potem jeszcze jeden raz... — i kolejarz wskazał Nastusi okienko w suterenie obok bramy. — Zrozumiałaś?

— Zrozumiałam. Dziękuję. I już pójdę. Ale proszę was bardzo, powiedzcie o mnie wujkowi. Dobrze?

— Powiem, córeńko. A jakże!

Przez kilka dni Nastusia nie przestawała myśleć o tym spotkaniu. Co za szczęście! Nareszcie wuj Józef dowie się, gdzie ona jest i co się z nią dzieje! Nucąc cichutko wycierała w salonie kurze i marzyła o tym, jak to wuj zabierze ją nareszcie z tego obmierzłego domu.

Przecierając jedno po drugim kosztowne cacka, zdobiące w salonie stoliki i stoliczki, zbliżyła się do drzwi, za którymi znajdował się gabinet pana generała, i niespodzianie usłyszała cichą rozmowę. Nieznajomy męski głos dudnił coś monotonnym szeptem, a generał od czasu do czasu rzucał swoim dziarskim basem: „Tak, tak... Rozumiem..."

„Kozackie pułki... oddziały wojska..." — dobiegało przez nieszczelnie zamknięte drzwi.

„O czym oni tam mówią?" — pomyślała Nastusia i nagle usłyszała wyraźnie: „A teraz do rzeczy, generale. Mam ważne wiadomości. Z Kijowa przyjeżdża do nas, do Połtawy, pułkownik Rewucki, któremu rozkazano zlikwidować tutaj bolszewików. Centralna Rada liczy na pańską pomoc... Przede wszystkim rozbroimy te pułki, które sprzyjają bolszewikom, a następnie uderzymy na kolejarzy. Ich przywódców powystrzelamy jak wściekłe psy!"

Nastusia czuła, jak zamiera w niej serce. „Co to będzie? Przecież wuj Józef jest

»przywódcą«, a o niczym nie wie. Trzeba go uprzedzić, zawiadomić... Ale jak? Jak wyjść z domu, żeby nikt nie zauważył?"

Znienacka w sąsiednim pokoju rozległy się kroki generałowej.

— Jeszcze nie skończyłaś sprzątać? — huknęła stając w drzwiach. — Dziecku trzeba dać jeść, a ty się obijasz! Idź no zaraz do kuchni i przynieś śniadanie.

Nastusia pobiegła do kuchni, stamtąd do dziecinnego pokoju, gdzie nakarmiła Zoję, potem posadziła na dywanie i rozłożyła przed nią różne zabawki. Przez cały czas jednak myślała tylko o jednym — o tych strasznych słowach, które usłyszała mimo woli.

„Pobiegnę! Jak Boga kocham, pobiegnę na Kurakińską" — zdecydowała wreszcie i tak jak stała, narzuciwszy jedynie chustkę na ramiona, wybiegła kuchennymi drzwiami. Nie biegła, a leciała, przeskakując po dwa, trzy stopnie, a potem niemal jednym susem minęła podwórze i znalazła się na ulicy. Żeby tylko nikt nie zauważył i nie kazał wrócić z powrotem!

Mróz od razu niczym kleszcze ścisnął jej ciało. Ręce i ramiona zaczęły dygotać z zimna. Nie zważając na to, jak na skrzydłach przebiegła plac Sienny i znalazła się na ulicy Kurakińskiej. Nareszcie ten dom, parkan, drewniana furtka. Wpadła na podwórze i podbiegła do okienka w sutere-

nie, szczelnie przysłoniętego białą firaneczką. Ostrożnie zapukała: raz, dwa, trzy, potem jeszcze raz. Firaneczka drgnęła, rozsunęła się nieco, zasunęła z powrotem. Po chwili otworzyły się drzwi i wyjrzała przez nie starsza kobieta w granatowej sukni w białe groszki — takiej samiuteńkiej, jaką nosiła matka Nastusi! — i w wielkiej ciepłej chustce na plecach.

— Przyszłam do Pawła, kolejarza — zaczęła Nastusia, ale kobieta przerwała jej:

— Coś ty taka nie ubrana? Wejdź szybciej, bo się przeziębisz!

Nastusia weszła za kobietą do sieni, a potem do niewielkiego niskiego pokoiku, gdzie stały trzy łóżka przykryte szarymi kocami, w kącie ciemna szafa, a pośrodku stół. Na jednym z łóżek na wpół leżał czarniawy, barczysty wyrostek, obok niego siedział drugi i brzdąkał na bałałajce.

Nastusia zatrzymała się na progu i niepewnie spojrzała na kobietę.

— A gdzie Paweł kolejarz?

— Nie ma go... A tyś kto?

— Jestem siostrzenicą Józefa Rzemiennego.

— Toś ty Nastusia? — ucieszyła się kobieta. — Dlaczego nie pokazywałaś się tutaj tak długo? Twój wuj pytał o ciebie. Siadaj przy piecu...

— Przyszłam do Pawła kolejarza... — z uporem powtórzyła Nastusia nie ruszając

się z miejsca. — W bardzo ważnej sprawie...

— Ta w kółko swoje — roześmiała się kobieta. — Maksymie! Chodź no tutaj! Nastusia przyszła do ojca... Mówi, że w ważnej sprawie.

— O co chodzi? Co za sprawa? — Maksym zerwał się z łóżka, podszedł do dziewczynki i poklepał ją po ramieniu. — Opowiadaj, nie bój się. Paweł kolejarz to mój ojciec, a ja jestem jego syn. Rozumiesz? A ten, co brzdąka na bałałajce, to też swój chłopak. Nawiasem mówiąc, mój brat. A więc możesz być spokojna!

— Ja przecież nic... — zawstydziła się Nastusia. — Ale trzeba mojemu wujowi jak najszybciej przekazać tę wiadomość...

I słowo w słowo powtórzyła rozmowę, którą przed godziną usłyszała stojąc u drzwi gabinetu generała.

— A więc to tak — zmarszczył brwi Maksym. — To naprawdę bardzo ważne wiadomości. Zuch z ciebie dziewczyna! Jak widzę, pomagasz rewolucji. Wasyl! Natychmiast leć na stację, do warsztatów kolejowych. A ja pójdę do komitetu.

Maksym włożył kożuszek, nasunął na głowę czapkę i ruszył ku drzwiom. Nastusia poszła za nim.

— A ty dokąd? — zawołała matka Maksyma. — Siadaj, ogrzej się, wypij herbaty!

— O nie, nie mogę, muszę wracać. Nikt

nawet nie wie, że wyszłam. Jak zobaczą, to oberwę. Do widzenia.

I Nastusia zręcznie prześliznęła się obok Maksyma i wybiegła z izby. No, udało się! A teraz niech generałowa krzyczy na nią, ile tylko zechce.

Nadciągają ważne wydarzenia

Mijały dni pełne napięcia. Po nocach słychać było strzały, to dalekie, to znów bliskie, i nikt dobrze nie wiedział, co właściwie dzieje się w mieście.

Zdawać się mogło, że w Połtawie zamarło życie. W pochmurne ranki tylko kawki niespokojnie krążyły wśród nagich wierzchołków topoli.

Była właśnie pora obiadowa. Odkąd z domu generała odeszły obie pokojówki, Nastusia musiała sama nakrywać i podawać do stołu. Rozkładając na obrusie widelce i noże bez przerwy myślała o wuju Józefie: „Co się z nim dzieje? Czy otrzymał w porę tę ważną wiadomość?"

Pogrążona w myślach, nie usłyszała nawet, jak zaskrzypiały drzwi.

— Łatwo ci mówić, moja droga — zagrzmiał bas generała, który wszedł właśnie z żoną do pokoju, usiadł i zaczął nerwowo bębnić palcami po stole. — Ty wcale nie wiesz — kontynuował rozpoczętą

rozmowę — co się dzieje w mieście. Jestem w tej chwili odpowiedzialny za spokój w Połtawie, a tymczasem siedzę jak na beczce prochu! Robotnicy zbroją się, a wojsko jest po stronie bolszewików...

— Przecież sam mówiłeś, że się ich rozbroi, jak tylko przybędzie pułkownik Rewucki!

— No, tak, mówiłem... Ale plan się nie udał... Żołnierze aresztowali Rewuckiego!

Nastusia, która właśnie wychodziła z jadalni, omal nie podskoczyła z radości. Nareszcie! A więc wszystko w porządku!

— Tam-tam-tam-taram! — zanuciła cicho i pobiegła do dziecinnego pokoju, gdzie schwyciła lalkę i zaczęła z nią tańczyć hopaka.

Mała Zoja zanosiła się od śmiechu, a wraz z nią, po raz pierwszy od długiego czasu, głośno i serdecznie śmiała się Nastusia.

Ale jej radość nie trwała długo. Następnego dnia kucharka Marusia wróciwszy z bazaru opowiedziała, że z Kijowa przybyły nowe pociągi z „wolnymi kozakami", którzy awanturują się i grabią sklepy, a część zajęła hotel „Europejski" i pije tam na umór.

Nastusia miała ochotę wypytać ją dokładniej, ale zadzwoniła z pokoju generałowa i kazała podawać kawę. Trzeba było wziąć tacę i iść do jadalni.

I wtedy właśnie nagle na ulicy, pod samymi oknami, rozległ się wystrzał.

— Ach, mój Boże! Co to? — zlękła się generałowa.

Nastusia podbiegła do okna i zobaczyła dwóch hajdamaków w kozackich czapkach o malinowych wierzchach. Pędzili za jakimś robotnikiem, który uciekał, drugi, w krótkim kożuszku i wysokich butach, leżał nieruchomo na bruku z rozrzuconymi szeroko rękami.

„Co oni robią! Strzelają do ludzi!"

Nastusia zbladła i obejrzawszy się bezradnie ujrzała nagle uśmiechniętą twarz generała, który również zbliżył się do okna.

— To moi chłopcy robią porządek — powiedział zadowolony. — Wydałem rozkaz, żeby zatrzymywali wszystkich podejrzanych, a przede wszystkim robotników. Pokażemy tym „towarzyszom", gdzie raki zimują!...

Nastusia rzuciła wściekłe spojrzenie na sytą i zadowoloną z siebie gębę swego chlebodawcy. Jeszcze chwila, a wpiłaby się w nią paznokciami, niczym rozjuszona kotka. To on taki, ten „chłop", ten „Ukrainiec"! Dobrana para z panią generałową.

Z trudem powstrzymując łzy wyszła z jadalni, a generał, nie zauważywszy niczego, z powrotem zasiadł do stołu.

Jednakże nie dane mu było dzisiaj spokojnie zjeść śniadania. Nie zdążył sięgnąć

po drugą filiżankę gorącej kawy, kiedy w przedpokoju zadźwięczał dzwonek. Nastusia, wycierając rękawem zapłakane oczy, pobiegła otworzyć.

Na progu, trzymając za ramiona schwytanego robotnika, stali ci sami hajdamacy, których przed chwilą widziała przez okno. Robotnik był bez czapki, oko miał podbite, a ciemne pasma włosów zlepione na zakrwawionej skroni. Dziewczynka spojrzała i zamarła z przerażenia: poznała Maksyma, starszego syna Pawła kolejarza.

— Powiedz panu generałowi, że przyprowadziliśmy aresztowanego — powiedział starszy z hajdamaków.

— No, czego się gapisz? Idź! — huknął młodszy.

Ale właśnie w przedpokoju zjawił się sam generał.

— Co się tu dzieje? — zapytał gniewnie.

— Meldujemy posłusznie, panie generale — powiedział znowu ten starszy. — Zatrzymaliśmy właśnie tego kolejarza. Może pan generał chce go przesłuchać?

Generał podszedł bliżej do Maksyma.

— Jak się nazywasz? — zapytał groźnie.

Maksym milczał.

— Odpowiadaj, sobaczy synu! — krzyknął z wściekłością generał i uderzył Maksyma w twarz. Od tego uderzenia głowa

Maksyma zachwiała się, ale jego usta zacisnęły się jeszcze mocniej.

— No, dobrze! I tak wszystko wyśpiewasz! — groźnie huknął generał. — Odprowadzić więźnia i zamknąć w suterenie. A pilnować go, jak oka w głowie!

Nastusia, zacisnąwszy zęby, suchymi oczyma patrzyła, jak wloką Maksyma przez podwórze. Po głowie tłukła jej się jedna tylko myśl: „Prędko na Kurakińską! Przecież oni nic nie wiedzą!"

Z domu zdołała się wyrwać dopiero po południu, kiedy uśpiła małą Zoję.

Znalazłszy się na placu Siennym nagle zobaczyła Baśkę, która właśnie wychodziła od swojej siostry Ulany.

— O, skąd się tu wzięłaś? — zdziwiła się tamta.

— Słuchaj, Basiu! Stało się nieszczęście. Ty znasz Pawła kolejarza, tego, co ma bliznę na policzku? Oni mieszkają tu niedaleko, na Kurakińskiej.

— Znam. Ale oni już tam nie mieszkają. Musieli się wynieść gdzie indziej, bo ich szukali hajdamacy.

— Co ty mówisz? A właśnie hajdamacy schwytali ich Maksyma.

— Kiedy?

— Dzisiaj rano. Przyprowadzili do nas i zamknęli w suterenie. Biegnij zaraz do twojego ojca, niech zawiadomi Pawła kolejarza.

— Ojca nie ma w domu.

— To biegnij na stację kolejową, ale prędko!...

Z ciężkim sercem wróciła Nastusia do domu. W oczach stał jej ciągle Maksym, pobity, okrwawiony i zamknięty w głębokiej, ciemnej suterenie. Znała tę suterenę, gdyż mieściła się w niej piwnica generała. Suterena była tak wilgotna i zimna, że gdy Nastusia wchodziła tam nawet w największe upały, przejmował ją dreszcz, a na samą myśl o szczurach, których tam było pełno, uginały się pod nią nogi.

O tym, że pani generałowa mogła zauważyć jej nieobecność, a więc będzie się na nią gniewać i krzyczeć, nie myślała wcale. Ale na szczęście pani miała migrenę, więc tylko powiedziała ostro:

— Dlaczego kręcisz się bez roboty? Idź i posprzątaj pokoje.

Nastusia wzięła ściereczkę i poszła do salonu. Machinalnie wycierała meble, wazony, obrazy, ale myślami była daleko. I wtedy stało się nieszczęście. Kiedy sunąc na kolanach przecierała suknem posadzkę, niechcący zaczepiła o wysoką lampę z japońskim kloszem stojącą w kącie na podłodze. Lampa zachwiała się i zanim Nastusia się spostrzegła, klosz spadł i rozbił się na setki drobnych kawałków.

W tej samej chwili zjawiła się w salonie pani generałowa.

— Co się stało? Coś ty tu stłukła? Ach, mój Boże! Lampa! Ty cała, jak tu stoisz, nie jesteś warta tyle, co ta lampa. Ja ci pokażę!

I nie panując nad sobą generałowa schwyciła Nastusię za włosy.

— Ach, ty łobuzico! Ach, ty ladaco! Ach, ty nędzarko nieszczęsna! — krzyczała bijąc przy każdym wyzwisku Nastusię po twarzy. Wlokła ją za włosy przez cały salon, aż nagle, już za progiem, poczuła, że ciało dziewczynki stało się dziwnie ciężkie i nieruchome. Opamiętawszy się wypuściła z ręki warkoczyki swojej ofiary i zobaczyła, że ta bezsilnie pada na podłogę.

...Kiedy Nastusia odzyskała przytomność i otworzyła oczy, ujrzała nad sobą przerażoną twarz generałowej, która lała na jej głowę wodę z białego porcelanowego dzbanka. Nastusia była cała mokra i dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, co się stało. Lampa! Bez słowa podniosła się z podłogi i powlokła do kuchni. Tam ubrała się, owinęła w chustkę i nic nie mówiąc ruszyła w stronę wyjścia.

Generałowa nie zatrzymywała jej. Sama rozumiała, że przesoliła, i myślała, że dziewczynce rzeczywiście dobrze zrobi świeże powietrze.

A Nastusia postanowiła na zawsze porzucić ten dom. Prędko, jak najprędzej musi

stąd wyjść, żeby nie widzieć już więcej tej złej generałowej i tego wstrętnego generała!

Ale dokąd iść? Na Kurakińskiej nie ma już nikogo. Więc do ciotki? Ale przecież ta może ją odesłać z powrotem. Tak rozmyślając stanęła na rogu ulicy i zastanawiała się, co robić dalej.

Mrok zapadał. Dokoła było pusto i ta pustka budziła lęk. Nagle z ciemnej bramy wysunął się jakiś cień.

Nastusia zamarła z przerażenia. Ale cień odezwał się cichym głosem:

— Dobry wieczór, Nastusiu. Nie bój się, to ja, Wasyl, brat Maksyma.

Nastusia odetchnęła z ulgą.

— Jak dobrze, że cię spotkałem — mówił dalej Wasyl. — Ja tu już dawno się kręcę, ale boję się podejść bliżej. Baśka powiedziała mi o aresztowaniu Maksyma... Gdzie on jest?

— Tutaj. Na podwórzu domu, w którym mieszka generał Pawlenko. Generał kazał zamknąć go w suterenie. Jutro odbędzie się przesłuchanie.

— Słuchaj — powiedział Wasyl po chwili — w tobie cała nadzieja. Postaraj się jutro wywiedzieć, gdzie i kto będzie przesłuchiwać Maksyma. Jak tylko się czegoś dowiesz, zaraz biegnij na plac Sienny, do Ulany, siostry Basi.

Nastusia chciała mu powiedzieć, że odeszła z domu generała już na zawsze, że za żadne skarby nie chce tam wrócić. Ale co się wtedy stanie z Maksymem? Nikt nie będzie wiedział o jego losie? A może przypadkiem go zobaczy? I nagle zrozumiała, że dzisiaj nigdzie już nie pójdzie, że wróci do generałowej i tam postara się zrobić

dla Maksyma wszystko, co będzie w jej mocy.

— Dobrze — powiedziała. — Dowiem się o wszystkim. A teraz muszę już iść!

Wasyl kiwnął głową, Nastusia szybko poszła z powrotem w stronę Korpusu Kadetów.

Wśród swoich

Z trudem doczekała się ranka. Myślała, że ta długa noc nigdy się nie skończy. Ledwo się zdrzemnęła, a już śnili jej się hajdamacy, gonili ją, strzelali i ona padała cała zakrwawiona... A potem okazało się, że to wcale nie ona, ale Maksym, którego wtrącono do ciemnej i wilgotnej sutereny, gdzie ze wszystkich stron skradają się ku niemu wielkie ogoniaste szczury. Nastusia-Maksym krzyczała przez sen i zrywała się ze swojej płachty leżącej na podłodze w cichym i przytulnym pokoju dziecinnym w domu generała Pawlenki.

Wstała bardzo wcześnie i na palcach poszła do kuchni. Kucharka Marusia jeszcze leżała na swoim szerokim kufrze.

— Coś się zerwała dzisiaj jeszcze przed świtaniem? — zapytała unosząc z poduszki ciężką od snu głowę.

— Nie mogę jakoś spać — odpowiedziała.

Trapiły ją myśli pełne niepokoju, czy aby Maksym jeszcze jest w ich suterenie? Czy go nie wywieziono dokądś w nocy?

Narzuciwszy ciepły kaftan, chciała wyjść z kuchni.

— Dokąd idziesz? — zdziwiła się Marusia.

— Pójdę do szopy, przyniosę drew.

W nocy lekki mróz pokrył ziemię cienką warstewką lodu. Na podwórzu było pusto i cicho. Tylko w kącie, obok wejścia do sutereny, na moment zabłysnął ogieniek — to wartownik, zasłoniwszy się przed wiatrem, zapalał papierosa.

Odetchnęła z ulgą: skoro wartownik pilnuje sutereny, to znaczy, że Maksym jeszcze tam siedzi. Ale czy żyje? Czy mu dali coś jeść? Choćby trochę wody do picia?... Nosząc z szopy wiązki drew Nastusia za każdym razem z ukosa spoglądała na wartownika, ale nie miała odwagi zapytać go o więźnia.

Marusia także już wstała, napaliła pod kuchnią i zaczęła przygotowywać dla państwa śniadanie. Obudziła się Zoja. Trzeba ją było umyć, ubrać i nakarmić manną kaszką. Życie toczyło się swoim zwykłym trybem, jakby się nic nie stało, jakby w głębokiej suterenie nie siedział zamknięty głodny i ranny człowiek.

Oto i generałowa zadzwoniła z pokoju i kazała podawać śniadanie.

Marusia zakrzątnęła się żywo. Była to kobieta pracowita i pokorna. Od dzieciństwa przywykła dogadzać państwu. Toteż i teraz wciąż się bała, że może czymś rozgniewać swoich chlebodawców.

— A to ci bieda! — zajęczała. — Zabrakło śmietanki do kawy! Trzeba zejść do piwnicy! Nie ma rady...

Nastusia aż podskoczyła. Do piwnicy? Przecież ich piwnica jest w tej samej suterenie, w której siedzi Maksym! Schodzi się tam po tych samych schodach, tylko drzwi są po przeciwnej stronie. Będzie można zawołać Maksyma i przekonać się, czy żyje.

— Ja pobiegnę! — zawołała skwapliwie.

Wzięła świecę, zapałki i wybiegła na dwór z dzbankiem w ręce. Przed suterenę stał wartownik i oparty o karabin nucił jakąś piosenkę. Był to młody, bezwąsy chłopiec w żołnierskim szynelu i barankowej czapce. Nastusia podeszła i nie patrząc na niego oświadczyła:

— Muszę wejść do piwnicy. Proszę otworzyć!

Wartownik bez słowa otworzył wielką kłódkę i odemknął ciężkie, okute drzwi. Za tymi drzwiami zaczynały się kręte schody z cegły, wiodące gdzieś w ciemną czeluść. Nastusia chciała zapalić świecę, ale roz-

myśliła się i po omacku zaczęła schodzić w dół. Znalazłszy się na dole i nie czując już schodów pod nogami ruszyła na lewo i namacała drzwi zamknięte na ciężką żelazną zasuwę. Kłódki na niej nie było. Nastusia przypadła do wąskiej szczelinki i ostrożnie zawołała:

— Maksymie!

Za drzwiami rozległ się jakiś szmer.

„Żyje!" — ucieszyła się i już chciała zawołać po raz drugi, kiedy na górze coś stuknęło. W okamgnieniu była już przy przeciwległych drzwiach. Odsunęła zasuwę, weszła do piwnicy i zapaliwszy świecę postawiła ją na cegle wystającej ze ściany. W żółtawym migotliwym świetle widać było omszałe ceglane ściany, a wzdłuż nich dzieże z ogórkami i kapustą, skrzynki i beczki. Na górze, pod samym sufitem, szarzało małe okienko bez szyby, z na wpół połamaną ramą. Okienko wychodziło na pusty zaułek, gdzie rzadko widziało się przechodniów. Zmierzyła oczyma odległość. Tak, do okienka można dosięgnąć, jeżeli się wlezie na beczki, uprzednio postawiwszy na nich kilka skrzynek. A na drzwiach, za którymi siedzi Maksym, nie ma kłódki! Trzeba szybko przyprowadzić tu Maksyma — wylezie przez to okienko i będzie uratowany!

Nastusia pospiesznie nalała do dzbanka śmietanki i cichutko wyszła z piwnicy.

Przez chwilę stała nasłuchując. Cisza! Postawiła więc dzbanek na podłodze, podeszła do drzwi naprzeciw piwnicy, pchnęła z całej siły zasuwę i odsunęła ją aż do końca.

— Maksymie! — zawołała znowu.

— Jestem tu! — usłyszała nad samym uchem.

Złapała chłopca za rękę i pociągnęła za sobą do piwnicy generała.

— Tutaj jest okienko — szepnęła. — Uciekaj! Szybko!

Maksym rozejrzał się wokoło, podniósł świeczkę, na sekundę oświetlił nią beczki w kącie piwnicy i zgasił natychmiast. W szarym półmroku Nastusia poczuła mocny uścisk jego ręki i wybiegła na schodki. Zasunąwszy zasuwy na obydwóch drzwiach, powoli poszła na górę. Serce w niej zamierało.

Co będzie, jeżeli wartownik domyśli się czegoś? Jeżeli zatrzyma ją za progiem? Mocno przyciskała do piersi dzbanek ze śmietanką, żeby wartownik nie zauważył, jak drżą jej ręce. Ale ten spojrzał obojętnie i znowu powiesił na drzwiach ogromną kłódkę. Nie oglądając się za siebie pospiesznie pobiegła do kuchni.

— Co ci jest? — zawołała kucharka biorąc od niej dzbanek ze śmietanką. — Jesteś dzisiaj blada jak ta ściana.

— Głowa mnie boli.

— No, to posiedź sobie. Już ja sama zaniosę państwu śniadanie.

Nastusia poszła do dziecinnego pokoju i bezsilnie usiadła na podłodze obok małej Zoi. Bawiła się z nią, ale nic nie widziała przed sobą. Co z Maksymem? Czy udało mu się uciec z piwnicy? Czy nikt go nie zauważył? Z bijącym sercem czekała, czy nie usłyszy na ulicy wystrzałów i krzyków. Ale wszędzie panował spokój. Państwo spokojnie siedzieli w jadalni. Generał zaraz skończy śniadanie i każe przyprowadzić Maksyma na przesłuchanie. Maksyma nie znajdą, zacznie się rwetes i wszyscy się domyślą, kto go wypuścił... Trzeba uciekać, póki jeszcze nikt nic nie wie.

Dziewczynka poszła do kuchni i z nerwowym pośpiechem zaczęła się ubierać.

— Wyjdę trochę na powietrze... W głowie mi się kręci... — powiedziała do kucharki rozdygotanym głosem.

— Idź, idź — ze współczuciem odrzekła kucharka. — Może ci się zrobi lepiej.

Nastusia w okamgnieniu znalazła się na ulicy. Kiedy dobiegła do rogu, gdzie skręcało się w zaułek, na który wychodziło piwniczne okienko, przystanęła na chwilę. Coś ją kusiło, aby spojrzeć na to okienko. Cichutko i ostrożnie, oglądając się, czy czasem nikt za nią nie idzie, przekradła się pod ścianą domu. Okienko znajdowało się poniżej poziomu ulicy, w głębokim dole.

Nachyliła się nad nim, nasłuchując. Z czarnego otworu nie dobiegał żaden szelest, tylko w oknie sterczał świeżo ułamany kawałek przegniłej ramy. „Uciekł! Uciekł!" — pomyślała radośnie i przyspieszyła kroku. Nie pójdzie już na plac Sienny do Ulany, pójdzie wprost na stację i w warsztatach kolejowych zapyta o wuja Józefa.

Niemal biegła przez całe miasto, ale było już późno, kiedy wreszcie, zmęczona i głodna, przeszła przez most na rzece Worskła i dowlokła do stacji. Minęła dworzec i poszła dalej, tam gdzie szyny kolejowe niczym dziesiątki błyszczących węży rozpełzły się na wszystkie strony.

Tą samą drogą szło kilku robotników.

— Gdzie tu warsztaty kolejowe? — zapytała jednego z nich.

— Chodź z nami. A po co tam idziesz? Może też na wiec? — powiedział robotnik obrzucając rozbawionym spojrzeniem niepozorną postać dziewczynki, przy czym na jego ciemnej od sadzy twarzy wesoło rozbłysły białe zęby.

— Idę do wuja Józefa. Jest dowódcą oddziału kolejarzy. Może go znacie?

— Józefa Rzemiennego? Znamy. A kim on jest dla ciebie?

— Jestem jego siostrzenicą...

— Siostrzenicą? Od razu widać, bo i z ciebie zuch. Ale strasznie zmarzłaś, dziewczyno. Wejdź no tutaj!

Weszli do wielkiego — większego niż cerkiew! — budynku z szeroką bramą zamiast drzwi. Niespodziewanie Nastusia znalazła się w gęstym tłumie zebranych tu ludzi. Od ich odzieży rozchodził się zapach smarów i zapach ten był jej przyjemnie znajomy i bliski. Jedni stali, inni siedzieli, gdzie popadło. Niektórzy trzymali w rękach pajdy chleba, a byli i tacy, co jedli wędzoną rybę, wszyscy zaś patrzyli tam, gdzie na podwyższeniu stała jakaś kobieta i kilku robotników w wysokich butach i ciepłych kurtkach.

Nastusia z lękiem wodziła oczami po nieznajomych, surowych i pokrytych sadzą twarzach robotników. Było ich tu kilkuset, ale żaden nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy słuchali, co mówi kobieta stojąca na podwyższeniu, a ta wzywała kolejarzy, by mocnym uderzeniem zlikwidowali hajdamaków.

— W Charkowie powstała władza radziecka — mówiła kobieta dźwięcznym głosem — i ta władza przyjdzie nam z pomocą. Z Charkowa już przybyły i nadal będą przybywać oddziały Czerwonej Gwardii!

Oświadczenie to zostało przyjęte przez kolejarzy hucznymi oklaskami. Mogło się wydawać, że tysiące gołębi uniosło się pod sklepienie wielkiej hali i trzepocze tam skrzydłami. Niewysoki bezwąsy chłopak,

stojący obok Nastusi, z całych sił klaskał w szerokie spracowane dłonie.

— Hajdamacy zobaczą, że z nami nie przelewki — powiedział uśmiechając się od ucha do ucha i mrugając porozumiewawczo do Nastusi.

Chciała go zapytać o wuja Józefa, ale chłopak nagle umilkł i odwrócił się w stronę trybuny. Stał już tam drugi mówca, wysoki, barczysty, z taśmą karabinu maszynowego przewieszoną przez ramię i z naganem u pasa.

Serce Nastusi załomotało. Wuj Józef! Nareszcie!

Rzuciła się do przodu, rozpychając ludzi i depcąc im po nogach.

Nagle poczuła czyjąś rękę na ramieniu.

— Nastusiu!

Obejrzała się. Stał za nią Paweł kolejarz.

— Jesteś tu?! Zuch dziewczyna! A myśmy się bali, czy ci się co nie przytrafiło... Kiedy Maksym nam powiedział...

— To Maksym jest już tutaj?

— Jest. I Józef jest! Chodź!

Po chwili Nastusia stała już wśród ciasno ją otaczających znajomych i nieznajomych ludzi, ale wszyscy wydawali jej się teraz drodzy i bliscy. Oto ojciec Basi z fajką w zębach, a obok Maksym. Wymachując rękami opowiada o swojej ucieczce i ze wszystkich stron słychać okrzyki:

— A to zuch dziewczyna!

— Zmajstrować coś podobnego!

— Jej szczęście, że uciekła! Generał by jej tego nie darował...

— Nie to mu teraz w głowie! Hajdamacy na Dworcu Kijowskim wagony już szykują, żeby dać drapaka!

Surowe, zakopcone oblicza serdecznie pochylały się nad Nastusią, ciężkie spracowane dłonie klepały ją po ramieniu, a ona stała obok wuja Józefa, tuląc twarz do taśmy karabinu maszynowego na jego ramieniu. Jej blade wargi rozchylał lekki uśmiech, a wielkie ciemne oczy były pełne łez. Czy jej się śni, że jest tu razem z wujem Józefem i już nie wróci do domu generała?

I jakby odgadując jej myśli wuj Józef powiedział wesoło:

— Nie pójdziesz już więcej na służbę, Nastusiu. Nadeszły nowe czasy.

CZĘŚĆ DRUGA

Oddział wyrusza w drogę

Na stacji Połtawa Południe huczał tłum niczym wezbrana wiosenną powodzią rzeka Worskła. Z góry i przez mostek, z pobliskich osad i wsi szli ludzie i zapełniali peron.

Dawno już nie widziała cicha Połtawa takich tłumów, może tylko przed rokiem, kiedy obalono cara. Ale wówczas w pstrokatej ciżbie wypełniającej ulice i place miasta można było dostrzec zarówno czapki oficerskie, jak i modne damskie kapelusze. A teraz na peronie widać było jedynie zakopcone kaszkiety i spłowiałe kobiece chustki. Nad nimi kołysały się plakaty z napisami: „Niech żyje Ukraińska Republika Robotniczo-Chłopska!", „Żegnamy połtawski bojowy oddział kolejowego pogotowia technicznego!"

Na pierwszym torze, na wprost dworca, stał pociąg, otoczony zwartym kręgiem ludzi. Stara lokomotywa sapała powoli i poważnie, wypuszczając kłęby białej pary.

Ciemnozielone wagony osobowe nie miały w sobie nic bojowego, jedynie platforma towarowa, przyczepiona zaraz za lokomotywą, cała załadowana podkładami kolejowymi i workami z piaskiem, groźnie jeżyła się lufami karabinów maszynowych.

Nastusia powoli przepychała się przez tłum ludzi w stronę wagonów, aby znaleźć się tam, gdzie łopotały czerwone transparenty i przemawiali mówcy. Z tyłu napierała na nią jej przyjaciółka Baśka. Nieco dalej stała matka Basi, a obok niej — żona Pawła kolejarza, Gala. Chustka, którą Nastusia miała na głowie, zsunęła się jej na ramiona, ale nawet tego nie dostrzegła.

Stojąc na palcach dziewczynka nie spuszczała oczu z postaci mówcy, była jednak tak przejęta, że nie rozróżniała słów, które rzucał w tłum brodaty mężczyzna w żołnierskim szynelu. Jednak Nastusia dobrze rozumiała sens i znaczenie ostatnich wydarzeń. Rewolucja w niebezpieczeństwie! O tym słyszała codziennie w chacie Pawła kolejarza, u którego ostatnio mieszkała wraz z wujem Józefem. Odkąd Niemcy zajęli Ukrainę, w domu bez przerwy mówiono o bojowym oddziale pogotowia technicznego, który organizowali robotnicy z połtawskich warsztatów kolejowych. I oto dzisiaj oddział wyruszał w drogę. Jego zadaniem było niesienie pomocy Armii Czerwonej: naprawa torów, układanie nowych

torów kolejowych, a w razie konieczności — wzięcie bezpośredniego udziału w walce z wrogiem. Oddział składał się z dwustu ludzi. Wśród nich był Mowczan, ojciec Baśki, a także syn Pawła kolejarza, Maksym. Dowodził oddziałem Józef Rzemienny, wuj Nastusi.

Teraz wuj Józef, w krótkim, ciasno opiętym kożuszku, wysunął się do przodu. W rękach trzymał czerwony sztandar. Wiatr łopotał miękkimi składkami płótna, to kryjąc, to znów ukazując napis: „Za zwycięstwo dyktatury proletariatu!" A wuj Józef, ściskając w ręce gładko ociosane drzewce, przemawiał wzruszonym, ale stanowczym głosem:

— Przyjmując dzisiaj ten sztandar z rąk Połtawskiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, w imieniu własnym i moich towarzyszy przysięgam, że bojowy oddział pogotowia technicznego będzie walczył z wrogami rewolucji do ostatniej kropli krwi!

Na peronie zerwała się burza oklasków i zabrzmiały dźwięki „Marsylianki".

Serce Nastusi rosło z dumy, ale z żalem i zazdrością spoglądała na białą chusteczkę z czerwonym krzyżem, którą nosiła na głowie dziewczyna stojąca w otwartych drzwiach wagonu. Jakże pragnęła, tak jak i ona, pojechać na front razem z oddziałem. Na pewno potrafiłaby obsługiwać rannych.

Dlaczego wszyscy wciąż nazywają ją „małą"? Wzrostu jest, co prawda, niewielkiego, ale sił jej nie brak. Pracowała przecież ciężko u pani generałowej. A w oddziale nikt nie znęcałby się nad nią — nie ciągnął za włosy i nie tłukł jej głową o podłogę. I nie musiałaby usługiwać generałowi, który wprawdzie mówił o sobie, że jest „chłopem" i „Ukraińcem", ale sam kazał strzelać do ukraińskich robotników.

Zamyślona Nastusia nie od razu zauważyła, że dokoła zapanowało niezwykłe ożywienie. Wiec się skończył. Tłum odprowadzających zmieszał się z wojskowymi. Kobiety rzuciły się ku swoim mężom. Matka Baśki płakała i obejmując Mowczana głośno zawodziła:

— Czemu nas opuszczasz? I co ty sobie myślisz? Czy nie ma młodszych od ciebie?...

— Dosyć! Przestań już — mruczał Mowczan gładząc żonę po ramieniu. — Sama wiesz, że tak trzeba...

Nastusia rozglądała się dokoła, szukając oczyma wuja Józefa. Chyba nie będzie mogła nawet pożegnać się z nim jak należy... A przecież oprócz niego nie ma nikogo na świecie. Ciotka Maryna tylko szturchańcami ją częstuje i wciąż wygania na służbę. „Ja sama wyrosłam służąc u ludzi" — powtarza i zupełnie nie współczuje dziewczynce...

— No cóż, Nastusiu, trzeba się poże-

gnać — niespodziewanie usłyszała obok siebie głos wuja Józefa, który jak gdyby wyrósł spod ziemi i serdecznie objął siostrzenicę. — Bądź zdrowa i nie martw się. Obiecujesz?

Nastusia w milczeniu przytakująco skinęła głową — oczywiście, obiecuje... Ale równocześnie, jak na złość, z jej oczu trysnęły łzy. Co za wstyd! Dziewczynka zagryzła wargi i odwróciła się pospiesznie.

Jednakże wuj Józef, jak się zdawało, nic nie zauważył, gdyż powiedział niemal wesoło:

— To świetnie! A ja prędko wrócę! I wszystko będzie dobrze! Zobaczysz... Aha, o mało nie zapomniałem! Ciotka Maryna kazała ci powiedzieć, że jeżeli chcesz, możesz do niej wrócić. Ale ja myślę, że w domu Pawła kolejarza też nie będzie ci źle. Prawda?

Nastusia znowu skinęła głową, starając się z całych sił powstrzymać łzy: wuj Józef ma dosyć swoich kłopotów, a ona tu jeszcze płacze!

— Ja wiem, Nastusiu, że z ciebie zuch dziewczyna! No, na mnie już czas!

Wuj Józef po raz ostatni uściskał Nastusię i odszedł szybkim krokiem. Po chwili zabrzmiała komenda. Tłum cofnął się. Bojowy oddział kolejarzy ustawił się wzdłuż wagonów.

Nastusia znowu przepchnęła się do przo-

du i zobaczyła wuja. Stał z czerwonym sztandarem w ręce na czele kolumny. Nagle lufy karabinów podniosły się w górę. Rozległa się salwa. Zabrzmiała znów komenda — i oddział, zrobiwszy w tył zwrot, szybko znalazł się w wagonach.

Nad peronem jeszcze raz popłynęły dźwięki „Marsylianki"...

Wuj Józef stanął na stopniu wagonu, tego samego, w którym widniała biała chusteczka sanitariuszki. Niecierpliwie zagwizdała lokomotywa. Jeszcze chwila — i pociąg ruszy po błyszczących szynach zabierając ze sobą wuja Józefa.

W dziewczynce zamarło serce. Dopiero teraz zrozumiała, że nadeszła chwila rozstania. Jak to? To niemożliwe! Nie może przecież zostać sama!

Jak uniesiona wichrem rzuciła się do przodu i w tej samej chwili, kiedy pociąg ruszył, skoczyła na stopień wagonu, gdzie stał wuj Józef.

— Wujku! Kochany! Zabierz mnie ze sobą! — wołała nie panując nad sobą.

Wuj błyskawicznie schwycił Nastusię i trzymając za ramiona, powiedział łagodnie:

— Coś ty, Nastusiu! Opamiętaj się. Tak nie można...

Zszedł na najniższy stopień wagonu, chcąc podać dziewczynkę komuś z ludzi

idących obok pociągu. Ale Nastusia z całych sił wczepiła się rękami w jego kożuch.

— Nie, nie, nie chcę! — płakała głośno. — Pojadę z tobą!

Wuj Józef chciał już siłą oderwać ją od siebie, kiedy nagle tuż nad jego głową mignęła biała chusteczka z czerwonym krzyżem i rozległ się dźwięczny głos:

— Nie trzeba, Józefie! Daj ją tutaj.

Wuj Józef jeszcze raz spojrzał na oddalający się peron, odwrócił w stronę sanitariuszki i spokojnie podał jej Nastusię.

Mignęły ostatnie zabudowania stacji kolejowej. Pociąg, postukując kołami, nabierał prędkości.

Siostra Oksana

Wszystko odbyło się niemal błyskawicznie. Mocne ręce schwyciły ją, wciągnęły do wąskiego korytarza i Nastusia znalazła się w wagonie. Kiedy oprzytomniała i lękliwie rozejrzała się wokoło, zobaczyła drewniane ściany, okno, a za nim czarną, rozgrzaną słońcem ziemię, która szybko uciekała w przeciwnym kierunku. Nastusia siedziała na szerokiej, gładkiej ławce. Ławka kołysała się lekko, niczym kołyska, a skądsiś dochodził miarowy stukot: ta-ta, ta-ta, ta-ta. Dziewczynka pierwszy raz w życiu jechała pociągiem.

Wuj Józef stał obok i cicho rozmawiał z sanitariuszką. Serce Nastusi biło radośnie: jedzie, jedzie razem z wujem! Popatrzyła na niego, ale on nawet na nią nie spojrzał. Niech się gniewa, niech na nią nie patrzy, niech ją skrzyczy! Nastusia zgadza się na wszystko — Nastusia jest szczęśliwa!

Jednakże wuj Józef nie zamierzał krzyczeć. Odchodząc spojrzał na nią przez ramię i powiedział:

— No cóż... Zostań tutaj. Słuchaj felczera i siostry. A ja potem tu zajrzę.

I zanim Nastusia zdążyła powiedzieć słowo, znikł za drzwiami, siostra zaś usiadła obok na ławce i rozpięła swój czarny aksamitny żakiet z futrzanym kołnierzem — jego miękki chłód dziewczynka dotąd czuła na policzku; poczuła też ten sam niezwykle przyjemny zapach, jak wtedy, kiedy nagle znalazła się w objęciach siostry sanitariuszki.

— Nazywam się Oksana — powiedziała po prostu siostra, zauważywszy skierowane na siebie spojrzenie Nastusi. — A to nasz felczer, Sawwa Grigoriewicz — wskazała na przeciwległy kąt przedziału, gdzie Nastusia już wcześniej dostrzegła starszego pochmurnego mężczyznę ze szczoteczką siwych wąsów i surowym wyrazem oczu.

Felczer rozłożył na małym stoliczku pod oknem jakieś papiery i wydobywszy z kieszeni okulary osiodłał nimi swój wielki

nos. Usłyszawszy, że właśnie o nim mowa, spochmurniał jeszcze bardziej i tak spojrzał na Nastusię, że ta mimo woli schowała się za sanitariuszkę.

— No, no! — pogroziła mu palcem Oksana. — Proszę nie straszyć dziewczynki!

— Jakże inaczej! Trzeba ją trochę nastraszyć! Żeby nie była taka bojowa i nie skakała w biegu do pociągu... Nie mamy już nic lepszego do roboty, tylko niańczyć się z nią tutaj...

Nastusia aż poczerwieniała z obrazy. Czego ten człowiek chce? Dotknięta do żywego, przestała się nawet bać.

— Ze mną nie trzeba się niańczyć... Ja wszystko potrafię! Wszystko!

— Ach, tak! — Felczer przesunął okulary z nosa na czoło. — Widzę, że nie dasz sobie w kaszę dmuchać!... Ale czy to nie przechwałki?

— Nie, nie przechwałki! — odcięła się Nastusia czując już swoją przewagę nad gniewnym felczerem. — Co mam robić?

— Dobrze już, dobrze... Zaraz zobaczymy. Ano, wyciągaj te skrzynie spod ławki.

Nastusia szybko przykucnęła na chwiejnej podłodze, a kiedy Oksana chciała jej pomóc, zamachała rękami:

— Nie, nie! Ja sama, sama!

Skrzynie zresztą nie były ciężkie — w domu generałowej codziennie dźwigała o wiele cięższe wiadra z wodą.

A potem to już była nie praca, a po prostu zabawa: Nastusia wyjmowała ze skrzynek rozmaite buteleczki, słoiki i paczki waty, Oksana odczytywała dziwne i niezrozumiałe napisy, a felczer notował w swoich papierach trudne i ogromnie mądre nazwy preparatów i lekarstw.

Tak zaczęła się wyprawa wojenna Nastusi. Szybko przywykła do stukotu kół i kołysania podłogi pod nogami. Jak myszka śmigała między dorosłymi, pomagała roznosić codzienne porcje jedzenia i już nie bała się zupełnie surowo zmarszczonych brwi felczera. Wydawał jej się teraz tak samo bliski, jak Paweł kolejarz, jak Mowczan, jak ci wszyscy prości ludzie, wśród których wyrosła.

Zupełnie innymi oczami patrzyła na siostrę Oksanę. Oksana była taka delikatna, szczupła i pachnąca jak pani. A ręce! Chociaż nie nosiła na palcach pierścieni, jej dłonie, miękkie, białe i wypielęgnowane, zupełnie przypominały ręce generałowej. Toteż Nastusia, chociaż dobrze wiedziała, że Oksana odnosi się do niej przyjaźnie, czuła się nieswojo, ilekroć ta „pańska rączka" głaskała ją po głowie. A przecież Oksana troszczyła się o nią jak o kogoś bliskiego! No i w ogóle — gdyby nie siostra sanitariuszka, wuj Józef nie zabrałby Nastusi ze sobą. A jednak dziewczynka nie mogła przywyknąć do Oksany i raz po raz rzu-

cała ostrożne spojrzenie w jej stronę. Czego szuka ta delikatna panienka wśród tych prostych, zwyczajnych ludzi? Powinna by siedzieć w towarzystwie pań i panów w jakimś eleganckim salonie i grać na pianinie, a ona przebywa w brudnych, cuchnących machorkowym dymem wagonach, dźwiga torby z prowiantem, a na postojach wykłóca się o coś z zawiadowcami stacyj.

Nastusia miała wielką ochotę wypytać o Oksanę wuja Józefa, ale wciąż jakoś nie było okazji. Kiedy wuj wpadał do ich przedziału, zawsze znajdowała się tam również i Oksana. Wuj zresztą więcej rozmawiał z nią niż z Nastusią — oboje byli członkami Komitetu i zawsze mieli jakieś różne sprawy do omówienia. A co do Nastusi, wuj o nic jej nie pytał, gdyż wiedział, że teraz może być zupełnie o nią spokojny. Dziewczynka rzeczywiście czuła się w pociągu jak w domu. Nie bała się już przechodzić w czasie jazdy z wagonu do wagonu, a na postojach zręcznie zeskakiwała z wysokich stopni, żeby choć chwilkę pobiegać po rozgrzanej słońcem ziemi. Wiosenne powietrze odurzało i napełniało serce beztroską radością. Trudno było wprost uwierzyć, że toczy się wojna i że śmierć czyha dokoła.

A wojna toczyła się tuż obok i przypominała o sobie niespokojną strzelaniną oraz dalekimi wybuchami pocisków. Coraz częś-

ciej trzeba było zatrzymywać pociąg i naprawiać tory. I nieraz spokojny stukot młotków i brzęczenie szyn mieszały się z gdakaniem karabinów maszynowych. Uzbrojeni robotnicy wyskakiwali wówczas z wagonów i biegli tam, skąd dochodziły wystrzały. Zdarzało się, że ten i ów wracał draśnięty kulą lub odłamkiem i wtedy felczer wraz z siostrą Oksaną pospiesznie opatrywał rannego.

W czasie alarmów Oksana wybiegała z pociągu razem z innymi i zawsze starała się znajdować w pobliżu wuja Józefa. Wykonywała też wszystkie rozkazy, jak zwykły szeregowiec. Raz tylko nie posłuchała go, ale wuj Józef wcale nie rozgniewał się na nią.

Dzień wówczas był pełen napięcia i niepokoju. Oddział miał naprawić mostek, aby przepuścić pociąg pancerny czerwonych wojsk. Niemcy przez cały czas ostrzeliwali tory kolejowe i praca postępowała powoli. Zmęczeni i głodni kolejarze wrócili do swoich wagonów dopiero późnym wieczorem. Oksana z Nastusią szybko rozniosły prowiant i same również, wraz z felczerem, zasiadły do kolacji, gdy nagle zjawił się wuj Józef. Nastusia właśnie gospodarowała przy małym stoliczku, krając chleb i kiełbasę.

— Weź, wujku — podała Józefowi.

Wuj wziął kawałek kiełbasy, ale natychmiast położył z powrotem. Z daleka dobiegła tu chaotyczna strzelanina i odezwał się karabin maszynowy. W tej samej chwili na platformie wagonu rozległy się czyjeś kroki i do przedziału wpadł młody zadyszany kolejarz.

— Towarzyszu Rzemienny, biją się koło mostku! — zawołał. — Niemcy otoczyli pociąg pancerny!

Wuj Józef schwycił czapkę.

— Idę. Przekaż ludziom w wagonach, niech natychmiast chwytają za broń!

Kolejarz wybiegł, felczer ruszył za nim. Oksana także wstała i sięgnęła po torbę sanitarną, ale wuj Józef zastąpił jej drogę:

— Oksana, ty na razie tu zostań. Obejdzie się bez ciebie.

Dziewczyna poczuła się dotknięta.

— Co to? Uważasz mnie za dziecko? — powiedziała prostując się. I dodała stanowczo: — Idę z tobą.

Słowa te zabrzmiały ostro i twardo, niczym rozkaz. Jak gdyby dowódcą był w tej chwili nie wuj Józef, ale ona, Oksana. Jak gdyby ta dziewczyna miała nad nim jakąś tajemną władzę. I wuj Józef podporządkował się tej władzy. Spojrzał tylko jakoś dziwnie na Oksanę i skinął głową Nastusi.

— Siedź tu, córeńko, cichutko i nie bój

się niczego. Niedługo będziemy z powrotem.

„Ja się nie boję" — chciała odpowiedzieć Nastusia, ale nie zdążyła. Drzwi stuknęły i dziewczynka została sama w półciemnym przedziale.

Nie czuła strachu, ale nieprzyjemny, mdlący chłód w sercu. Zapomniała o kolacji i siedziała skulona na ławce. Spoza stacji bez przerwy dochodziły odgłosy strzelaniny. Nastusia usiłowała wyobrazić sobie, co się dzieje tam, koło mostku. Przed jej oczyma stała wciąż postać Oksany, wiotka, stanowcza, z gniewnym rumieńcem na szczupłych policzkach. Jakie to dziwne, że taka delikatna panienka gotowa jest narażać życie i walczyć przeciwko swoim. Bywają więc i tacy panowie...

Strzelanina powoli zamierała. Nastusia, zmorzona zmęczeniem, mimo woli przymknęła powieki i już przez sen usłyszała obok siebie jakieś szmery, szuranie nóg, przyciszone głosy. Trzasnęła zapałka i ktoś zapalił świecę. W jej drżącym blasku rozbudzona Nastusia ujrzała nad sobą bladą twarz i wielkie, błyszczące oczy Oksany.

— Wszystko w porządku, Nastusiu, śpij — wyszeptały jej wargi i drobna ręka troskliwie okryła dziewczynkę jakimś kocem.

Nastusię ogarnęło uczucie spokoju i ciszy. Odwróciła się na bok i pogrążyła w słodkim śnie.

Pułapka

Dzień był letni, ciepły i bezwietrzny. Pociąg stał na cichej, opuszczonej mijance. Przez okno w przezroczystym powietrzu widać było rozległy bezludny step, nad którym wisiała oślepiająca tarcza słońca.

Nastusia już przywykła do monotonii stepowych krajobrazów. Pozostały daleko w tyle miasta Jekatierinosław i Aleksandrowsk, a jeszcze dalej ojczysta zielona Połtawa.

Bojowy oddział pogotowia technicznego kolejarzy połtawskich minął już Melitopol i dążył wytrwale na południe, skąd z rozległych ziem Taurydy nadciągało groźne niebezpieczeństwo. Z frontu rumuńskiego, w kierunku Donu, przeciwko Republice Rad szły dywizje białych wojsk pod dowództwem generała Drozdowa. Biali przywracali wszędzie stary porządek i krwawo rozprawiali się z bezbronną ludnością wsi i miast.

W Melitopolu nikt dokładnie nie wiedział, gdzie się znajdują wojska Drozdowa. Połtawskiemu oddziałowi radzono zatrzymać się i czekać na wyjaśnienie sytuacji, ale ten miał surowy rozkaz: iść na Dżankoj i wesprzeć znajdujące się tam jednostki Armii Czerwonej. Nie można więc było zwlekać i oddział pospiesznie wyruszył ze stacji Melitopol.

Jednakże po drodze musiał się zatrzymać na mijance: najbliższa stacja nie przyjmowała pociągu. Co się stało? Oksana poszła do wagonu sztabowego, żeby zdobyć jakieś informacje.

— No, co tam? — zapytał ją felczer Sawwa Grigoriewicz, kiedy wróciła do przedziału.

— Dyżurny ze stacji Jakimowka dał znać, że tor jest zniszczony — odpowiedziała Oksana. — Trzeba czekać, aż naprawią.

— A po co czekać? — zdziwił się felczer. — Przecież mamy własną brygadę remontową. Nasi chłopcy uporają się z tym szybko, a tamci będą marudzić cały dzień.

— To samo powiedział Józef... Ale tamci swoje: sygnału nie damy.

Felczer wzruszył ramionami i zaciągnął się papierosem. Oksana w milczeniu stukała palcami po stole. Nastusia wzrokiem pełnym lęku spoglądała na dorosłych — uczucie niepokoju, jakie ich opanowało, udzieliło się dziewczynce.

Właściwie nic szczególnego nie zaszło — postoje w podróży zdarzały się i przedtem. Denerwowało tylko to, że się traci bezcenny czas. Toteż kiedy pociąg wreszcie drgnął i ruszył, wszystkim jakby kamień spadł z serca. Sawwa Grigoriewicz sięgnął po machorkę, żeby zrobić sobie nowego skręta; Nastusia zaś przylgnęła twarzą do

okna i nawet nie zauważyła, jak Oksana znowu wyszła z przedziału.

Lokomotywa ciężko sapała wyrzucając kłęby białej pary. Koła pieczołowicie ostukiwały każdą szczelinkę na stykach szyn. Słońce uśmiechało się szeroko z wysokiego wiosennego nieba. Zwykłym spokojem tchnęły rozgrzane pola, lasek w oddali i dwie młode brzózki nad parowem. I dlatego wszystko, co nastąpiło później, wydało się zrazu Nastusi jakąś całkiem niestraszną, wesołą zabawą. Spoza pagórka wyłoniły się czarne ruchome punkciki, które powiększając się zbliżały się szybko. Wkrótce Nastusia rozpoznała, że są to ludzie na koniach. Jeźdźcy pędzili wprost na pociąg i dziewczynce zdawało się, że pędzą na jego powitanie. Nagle jeźdźcy podnieśli do góry karabiny i coś jakby grochem sypnęło w dach wagonu. Nad głową Nastusi zadźwięczała rozbita szyba i w tej samej chwili, szarpnięta silną ręką felczera, dziewczynka znalazła się na podłodze.

— Diabelska banda! — mruknął Sawwa Grigoriewicz. — Ale to nic! I tak nas nie dogonią.

I rzeczywiście, pociąg, zwiększając szybkość, wkrótce zostawił napastników daleko za sobą. Felczer wyjrzał przez okno.

— Udało się, dzięki Bogu! O, już widać sta...

Ale nie zdążył dokończyć zdania. Z tyłu

zagrzmiał wybuch, drgnęły wagony, szyny zadygotały i pod nimi zadrżała ziemia.

— Kanalie! Wysadzili tor... — zawołał felczer. — Ale dlaczego?

Straszliwa odpowiedź na to pytanie nie kazała na siebie długo czekać. Stacja Jakimowka lufami karabinów maszynowych przywitała pociąg, któremu udało się uciec przed napadem bandytów. Pociąg gwałtownie zahamował — zwrotnica była już zawczasu przesunięta i skierowała pociąg na ślepy tor. Strzelanina, wybuchy pocisków, krzyki — wszystko to zlało się w jeden piekielny łoskot, który ogłuszył Nastusię. Wagony odgryzały się seriami karabinów, dygotały jak żywe od tupotu nóg, od naporu ludzi wyskakujących pospiesznie na peron. Poprzez wściekłą kanonadę przedzierały się słowa komendy, okrzyki „Hura!" Nastusi wydawało się nawet, że rozpoznaje głos wuja Józefa...

Wszyscy, kto tylko miał broń, znajdowali się już na peronie. W pociągu pozostali tylko „staruszkowie" z brygady remontowej oraz Nastusia z felczerem. Dziewczynka siedziała skurczona w podziurawionym przez kule wagonie, ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że jakaś kula może dosięgnąć jej samej...

Strzelanina powoli zaczęła cichnąć. Karabiny maszynowe umilkły. Nastusia wy-

prostowała się. Na sąsiedniej ławce wesoło igrał promień słońca. A obok, pobladły i zgarbiony, stał felczer i patrzył w okno. Za oknem widać było stację: zwykłe murowane budynki, bagażownię, pompę kolejową. A jednak te budynki nie były całkiem zwykłe: w każdym oknie stały karabiny maszynowe wycelowane prosto w pociąg. Z szeroko otwartych drzwi dworca kolejowego wybiegali na peron uzbrojeni ludzie w długich szynelach.

— Kto to? — szeptem spytała Nastusia, zwracając białą jak kreda twarzyczkę w stronę felczera.

— Drozdowcy, żołnierze Drozdowa — również szeptem odpowiedział Sawwa Grigoriewicz.

— Co teraz będzie?

Zamiast odpowiedzi za oknem rozległa się głośna i ostra komenda:

— Z wagonów wy-y-chodź!

Nastusia chwyciła felczera za rękaw. Oboje znieruchomieli. W sąsiednim przedziale trzasnęły drzwi i rozległy się nierówne kroki.

— Cóż, Nastusiu... Musimy iść.

Felczer sięgnął po torbę ze znakiem Czerwonego Krzyża na wierzchu i wziął Nastusię za rękę. Po chwili znaleźli się na peronie śród robotników brygady remontowej i przypadkowych pasażerów. Uzbroje-

ni drozdowcy otoczyli ich ciasnym kołem.

Wzdłuż pociągu szybkim krokiem szedł wysoki oficer w długim niczym sutanna szynelu.

— Przeszukać wszystkie wagony! — rozkazał i kilku żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału od razu wskoczyło na stopnie. Oficer zaś, zwróciwszy się do grupy jeńców, rozkazał:

— Wszyscy na podwórze majstra drogowego.

Żołnierze szturchańcami popędzali tych, co stali z tyłu, ci zaś napierali na pierwsze szeregi i ponura milcząca grupa jeńców ruszyła przez peron.

Podwórze majstra drogowego znajdowało się tuż obok. Pod parkanem, na ziemi, leżeli ranni. Byli śród nich i kolejarze, i żołnierze Drozdowa; wszędzie widniały ciemne plamy zakrzepłej krwi i słyszało się bolesne jęki.

— Felczer? — wysoki oficer wskazał palcem na Sawwę Grigoriewicza, zauważywszy na jego ramieniu torbę ze znakiem Czerwonego Krzyża.

Sawwa Grigoriewicz skinął w milczeniu głową.

— No, to chodź tutaj! Będziesz opatrywał rannych.

Felczer wysunął się naprzód wciąż trzymając za rękę Nastusię.

— A to kto znowu? — zapytał gniewnie oficer.

— Sierota... Jechała z nami.

— Hm... No, niech stąd wieje, póki cała. A ty bierz się do roboty. Ale pamiętaj — masz opatrywać naszych, a nie swoich! Zrozumiałeś?

I oficer, plącząc się w długich połach szynelu, opuścił podwórze. Felczer, z otwartą już po drodze torbą, pospiesznie skierował się ku rannym. Nastusia jak cień szła za nim. „A może — myślała — znajdę wśród rannych wuja Józefa?" Ale na próżno wpatrywała się w twarze leżących ludzi — widziała obce, pełne cierpienia oczy i słyszała szept zeschniętych warg:

— Wody!...

Wody... Jasne, że chcą wody! Nastusia rozejrzała się — w głębi podwórza, koło niewielkiego murowanego budynku, zobaczyła studnię z żurawiem, a obok niej tęgą niewysoką kobietę. Dziewczynka podbiegła do niej:

— Ranni proszą o wodę!... Trzeba im zanieść...

Kobieta o pełnej, dobrodusznej i wystraszonej twarzy nawet się nie zdziwiła ujrzawszy przed sobą Nastusię. Powiedziała tylko:

— Zaraz, zaraz...

Pospiesznie wyciągnęła wiadro z wodą, napełniła kubek i podała Nastusi. Ale ten

kubek nie starczył na długo i Nastusia poprosiła gospodynię o pełne wiadro.

Ranni leżeli pokotem, wykrwawieni i bezsilni. Felczer, mimo zakazu oficera, opatrywał wszystkich po kolei, ale sam oczywiście nie mógł dać sobie rady. Nastusia starała się mu pomóc, lecz co chwila musiała biec do studni po wodę, której domagali się ranni.

Kiedy zabrakło już bandaży, gospodyni, wciąż jeszcze tak samo wystraszona, wyniosła na podwórze kilka prześcieradeł i podarła je na kawałki.

Porzuciwszy swoje domowe zajęcia pomagała felczerowi i Nastusi opatrywać rannych. Mimo swojej tuszy robiła to zręcznie i szybko, nie przestając powtarzać:

— Mój Boże! Co za nieszczęście! Co za nieszczęście!

Przez furtkę wiodącą na podwórze wciąż przybywali nowi ranni i wśród nich Nastusia ujrzała nagle ojca Baśki. Mowczan, podpierając się o ziemię obydwiema rękami, wlókł za sobą postrzeloną nogę.

Dziewczynka rzuciła się ku niemu, posadziła w cieniu pod parkanem, dała wody do picia i ściągnęła zakrwawiony but.

— Dziękuję ci, dziękuję — powiedział Mowczan i rzucił na Nastusię spojrzenie tak pełne rozpaczy, że po raz pierwszy tego straszliwego dnia dziewczynka zalała się łzami.

— A gdzie wuj Józef? Co się z nim stało?

Mowczan pokiwał głową.

— Widzisz, córeńko... Józef pierwszy wyskoczył z wagonu... Od razu dostał kulą, ale nie przestawał walczyć. Co się z nim działo dalej, tego nie wiem, bo i mnie postrzelili... W nogę... Więc upadłem... Jeżeli Józef żyje i dostał się w łapy drozdowców, to go razem z innymi popędzili do wsi.

— Do wsi? Gdzie? Dokąd? — i nie czekając na odpowiedź Nastusia pobiegła do gospodyni, która rozpaliła wprost na ziemi ognisko i gotowała rzadką kaszę, aby nakarmić nią rannych.

— Jak się idzie stąd do wsi? Pognali tam naszych... Polecę... Może odnajdę mojego wujka...

Gospodyni wiedziała już coś niecoś o Nastusi od Sawwy Grigoriewicza.

— To dopiero nieszczęście! Dokąd chcesz iść? Zjedz przynajmniej coś gorącego — kasza gotowa!

Ale dziewczynka nie chciała nawet słuchać i powtarzała z uporem:

— Muszę tam iść! Muszę!

Ciężko wzdychając gospodyni wsunęła Nastusi kawał chleba za pazuchę, wyprowadziła za stację i pokazała drogę. Nie oglądając się za siebie dziewczynka pobiegła w stronę wsi.

„Nie chcemy waszej łaski"

Niczym wiosenne roztopy po ulewnych deszczach zaleli drozdowcy całą Jakimowkę. Rozległy plac targowy aż huczał od gwaru żołnierskich głosów i tętentu końskich kopyt.

Na budynku zarządu gminnego, stojącego pośrodku wsi, powiewała trójkolorowa carska chorągiew. Mieścił się tu sztab drozdowców. Po schodkach tam i z powrotem co chwila przebiegali łącznicy i ordynansi, przy słupie rżały uwiązane konie; a obok, otoczeni zdwojonym konwojem, stali na piekącym słońcu pokrwawieni, udręczeni ludzie.

W pobliżu, oprócz żołnierzy, nie widać było żywej duszy. Żaden chłop nie miał odwagi nawet wyjrzeć poza swoje obejście. Tylko jedna zdyszana, jasnowłosa dziewczynka tuliła się do pobliskiego parkanu. Była to Nastusia. Usiłowała właśnie podejść bliżej do grupy jeńców, kiedy nagle rozległa się komenda:

— Baczność!

Na wysoki ganek zarządu gminnego wyszło kilku oficerów, a śród nich i ten wysoki, w długim szynelu, którego Nastusia widziała na stacji.

— Stać na baczność, hałastro! — krzyknął na jeńców ten właśnie oficer. — Prze-

mówi do was jaśnie wielmożny pan generał Szczerbaczow!

Oficer usunął się i jego miejsce zajął niski, szczupły i siwy wojskowy w rozpiętym szynelu, spod którego widać było spodnie z czerwonymi lampasami. Nastusi od razu przypomniał się generał Pawlenko, u którego służyła w Połtawie... Tamten był wprawdzie młodszy oraz tęższy i wymyślał po ukraińsku, a nie — jak ten tutaj — po rosyjsku, ale tak samo wrzeszczał i wymachiwał rękami, kiedy hajdamacy przyprowadzili do niego rannego Maksyma.

Nastusia nie wszystko rozumiała z tego, co zachłystując się wykrzykiwał generał o kucych nogach. Słyszała tylko pojedyncze wyzwiska i groźby: „Czerwoni!" „Anarchiści!" „Za zdradę ojczyzny — rozstrzelać!"

Wykrzyczawszy się, generał już spokojniej dodał, że tylko ci zostaną ułaskawieni, którzy wyrażą skruchę i zgodzą się wstąpić w szeregi armii Drozdowa. Wreszcie zawołał:

— Kto chce zachować życie — trzy kroki naprzód!

Ale ponury tłum jeńców nawet nie drgnął. Prosto w twarz generałowi, niczym wystrzały, posypały się okrzyki:

— Nie chcemy waszej łaski!

— Strzelajcie!

— Są nas miliony! Wszystkich nie wystrzelacie!

Do przodu wysunął się mężczyzna ze skrępowanymi na plecach rękami, w podartej koszuli, z głową owiązaną pokrwawioną szmatą.

— Krew naszą pomszczą inni!

„Wujku!" — chciała krzyknąć Nastusia, ale nie mogła wydobyć głosu. Tymczasem generał dał znak konwojentom: żołnierze jeszcze ciaśniej otoczyli jeńców i pognali ich w dół ulicy.

Nastusia zamierzała iść za nimi, ale przegrodziła jej drogę druga partia jeńców. Kolumna zatrzymała się i dziewczynka, przyciśnięta przez nią do drewnianego parkanu, nie mogła się ruszyć. Wtedy właśnie, zupełnie blisko, zauważyła dobrze sobie znaną białą chusteczkę ze znakiem Czerwonego Krzyża — w tej grupie jeńców znajdowała się sanitariuszka, siostra Oksana.

Nastusia odruchowo rzuciła się ku niej, prześliznęła niczym piskorz między konwojentami i zawołała z rozpaczą:

— Wuj Józef! Tam... poprowadzili... wuja Józefa!

Oksana w milczeniu przytuliła do siebie dziewczynkę. Zrozumiała wszystko — wiedziała, dokąd poprowadzono jeńców, i nie znajdowała słów pociechy. W tej samej

chwili jeden z konwojentów gniewnie szarpnął Nastusię za ramię.

— Ach, ty szczeniaku! Gdzieś ty wlazła!

Nastusia głośno płacząc kurczowo trzymała się Oksany.

— Co to za hałasy? — dał się słyszeć niezadowolony głos. — Spirydonow, co się tam dzieje?

Obok nich zatrzymał się wysoki oficer w szynelu o długich połach. Konwojent na dźwięk swego nazwiska drgnął i puścił Nastusię.

— Ośmielę się zameldować, że ta mała...

Ale oficer już nie słuchał. Wpatrywał się w Oksanę i jego blada, podłużna twarz z małym wąsikiem, gniewna jeszcze przed chwilą, przybrała wyraz ogromnego zdumienia:

— Ksenia Walerianowna! — zawołał wreszcie. — To pani? Jak pani się tu znalazła?

Zaskoczona Oksana patrzyła na niego bez słowa.

— Wprost nie do wiary... Pani wśród tych bandytów... Spirydonow — zwrócił się oficer do konwojenta — odprowadź panią... — i lekkim ruchem głowy wskazał za siebie — do mnie, na kwaterę.

Na te słowa Oksana zrazu żachnęła się, ale natychmiast opanowała ten odruch. Co się stanie z Nastusią? Czy ona, Oksana, ma

prawo rezygnować z możliwości ratunku dziewczynki i samej siebie?

I Oksana, trzymając Nastusię za rękę, w milczeniu poszła za żołnierzem.

Skręciwszy w najbliższą uliczkę minęli kilka chałup i weszli na zarośnięte trawą podwórze. Nikogo tu nie było i dopiero kiedy znaleźli się w izbie, zastali tam siedzącego na ławie dziada inwalidę z drewnianą kulą zamiast prawej nogi.

— Ty tu gospodarz? — zapytał żołnierz.

— Tak, ja...

— A gdzie ordynans pana oficera?

— Leży w świetlicy i chrapie...

Żołnierz przez sień wszedł do świetlicy, a Oksana, pogrążona w ciężkiej zadumie, usiadła na ławce. Zdawało się, że zapomniała nawet o istnieniu Nastusi, która nieśmiało przycupnęła obok niej. Beznogi staruszek kilkakrotnie rzucił okiem na Oksanę. Widać było, że chce ją o coś zapytać, ale tylko wzdychał i kiwał głową.

Wreszcie, kiedy już zdecydował się odezwać i chrząknąwszy przygładził wąsa, w izbie rozległ się jęk.

Nastusia obejrzała się zdziwiona. Na przypiecku poruszył się ktoś i spod stosu odzieży zabrzmiał starczy głos:

— Filipie... Daj wody...

Dziadek pokuśtykał do wiadra stojącego w kącie, zaczerpnął kubek wody i podał go chorej. Maleńka, niemal dziecięca głów-

ka w ciemnej chusteczce, spod której wymykały się siwe pasma włosów, uniosła się nad posłaniem ze starej odzieży i szmat i przywarła wargami do kubka.

W sieni rozległ się tupot żołnierskich butów. To konwojent wyszedł ze świetlicy i opuścił chałupę. I znów zapanowała cisza, ciężka i przytłaczająca niczym jesienna mgła. Z trudem oddychała chora staruszka, przycichł dziadek, a Oksana z Nastusią zamarły bez ruchu na ławie koło okna. W tę niespokojną ciszę wdarły się nagle dalekie salwy karabinów. Jedna... druga... trzecia...

— Przeklęci! — krzyknęła Oksana zrywając się z ławki. — Zabili Józefa! Zabili go!... — I jak podcięta padła zemdlona na podłogę.

Nastusia podbiegła do niej, dźwignęła przy pomocy starego inwalidy i z trudem dowlokła do ławki.

— Nabierz wody do kubka — powiedział dziadek, kiedy już udało im się ułożyć zemdloną i podsunąć jej pod głowę jakiś zwinięty kaftan.

Nastusia przyniosła kubek i staruszek bryznął wodą w twarz Oksanie. Przez chwilę oboje z napięciem wpatrywali się w nieruchome, jakby martwe oblicze. Ale oto zadrgały lekko ciemne gęste rzęsy — Oksana otworzyła oczy i westchnęła głęboko. Nastusia, płacząc, przytuliła się do niej.

— Daj jej spokój — odezwał się staruszek. — Niech trochę przyjdzie do siebie.

Nastusia, popłakując, podeszła do okna, a dziadek pokuśtykał do sieni. Nagle dziewczynka podniosła głowę. Najpierw daleko, potem coraz bliżej, rozlegały się wybuchy pocisków, od których drżały szybki w małych okienkach.

— Kto tak strzela, dziadku? — zapytała gospodarza, kiedy ten znowu wszedł do izby.

— To od strony Melitopola — odpowiedział staruszek. — Chyba czerwoni nacierają, bo drozdowcy są jakoś niespokojni. Czy nie myślą czasem dać drapaka?

Jakby w odpowiedzi na jego słowa w uliczce rozległ się tętent kopyt końskich, zabrzmiały niespokojne okrzyki i w sieni stuknęły drzwi. Po chwili do izby wpadł spocony, zdenerwowany wysoki oficer.

— Ksenia Walerianowna! Proszę się przygotować! Zaraz ruszamy!

Rozejrzawszy się zauważył, że Oksana leży na ławce, i zapytał gospodarza:

— Co z nią?

Ten wzruszył ramionami.

— Zachorowała...

— Jak to?

— A tak... Stała na środku izby i upadła.

Oficer pochylił się nad Oksaną.

— Ksenia Walerianowna! Ksenia Walerianowna!

Ale ta nawet nie uniosła powiek. Oficer przez chwilę stał niezdecydowany, potem machnął ręką i wybiegł z chaty. Nastusia zobaczyła przez okno, jak skoczył na konia i pomknął w dół ulicy, a za nim jego ordynans.

Ogień artyleryjski nie ustawał. Przy każdym wybuchu dzwoniły szyby w okienkach. Z ulicy dolatywało turkotanie taczanek — to przerażeni natarciem czerwonych wojsk uciekali żołnierze Drozdowa. Na drugim końcu wsi płonęły chaty.

Pod wieczór, kiedy uspokoiło się nieco, gospodarz przytaszczył do izby kilka wiązek słomy i napalił w piecu. Nastusia umyła garnek kartofli i postawiła na ogniu. Dziewczynka sąsiadów przyniosła dzbanek mleka. Dziadek dał popić chorej staruszce, a Nastusia podsunęła kubek Oksanie. Ale ta nawet nie otworzyła ust.

Gospodarz z Nastusią zjedli gotowane kartofle w mundurach; potem dziadek zajął się urządzaniem noclegu: dla Nastusi rozłożył na ławce stary kożuch, sam zaś ulokował się na narach, obok przypiecka, na którym leżała chora staruszka.

Rankiem Nastusię obudziła głośna rozmowa; zerwała się i usiadła przecierając oczy. Oksana, jak i poprzedniego wieczora, leżała nieruchomo na ławie, a przy drzwiach stał gospodarz i rozmawiał z tą

samą dziewczynką od sąsiadów, która wczoraj przyniosła dzbanek mleka.

— To oni i naszych rozstrzelali? Z naszej wsi?

— Tak, dziadku! I Andrzeja, i wujka Piotra... Za to, że pańską ziemię dzielili między chłopów. Ciotka Horpyna z Katarzyną pobiegły tam skoro świt, żeby zabrać ciała...

— To wczoraj ich nie pochowano?

— Nie, żołnierze nie pozwolili. Grozili, że zastrzelą każdego, kto się tam zbliży!

Nastusi nagle zrobiło się duszno. „Co ona mówi?" A tamta, podniecona i wzburzona, opowiadała dalej:

— Ledwie ciotka Horpyna z Katarzyną zbliżyły się do tego miejsca, jak jeden z rozstrzelanych poruszył się. Przerażone, stanęły jak wryte, a ten podnosi się i staje na kolanach. Ciotka Horpyna z Katarzyną jak nie wrzasną, jak nie drapną stamtąd! Ledwie żywe dobiegły do domu...

— Józef! To był Józef! — nagle krzyknęła nie swoim głosem Oksana i oparta na łokciu, uniosła się nieco na ławie. — Biegnijcie tam! Przyprowadźcie go tutaj! Szybko!

Po tym okrzyku głowa Oksany bezsilnie opadła z powrotem na poduszkę.

...Oksana chorowała przez cały tydzień. Nastusia ani na chwilę nie odchodziła od niej. Kilkakrotnie zaglądała do chaty są-

siadka — matka owej dziewczynki, która opowiadała o rozstrzelanych — i poiła Oksanę jakimś wywarem z ziół. Wreszcie gorączka minęła, Oksanie zrobiło się lepiej, zaczęła podnosić się i rozmawiać. Wkrótce też razem z Nastusią, obydwie wychudłe, smutne i milczące niczym cienie, powlokły się tam, gdzie za wsią widniała świeżo usypana bratnia mogiła.

Stojąc nad mogiłą żadna z nich nie zapłakała. Ale stały tam bardzo długo, wpatrzone w owiewane ciepłym wiatrem suche grudki ziemi. I Nastusi wydawało się, że znowu słyszy głosy rozstrzelanych tutaj ludzi:

„Nie chcemy waszej łaski!"

„Strzelajcie!"

„Krew naszą pomszczą inni!"

...Następnego dnia Oksana z Nastusią wybrały się z powrotem do Połtawy.

POWRÓT

O świcie ruszyły w daleką drogę. Oksana nie była jeszcze zdrowa, ale nie mogła dłużej pozostać w Jakimowce, gdyż nie czuła się bezpieczna. Wprawdzie drozdowcy wycofali się ze wsi, ale gminą zarządzał

ustanowiony przez nich starosta i jego zausznicy węszyli po wszystkich chatach.

Za poradą gospodarza Oksana i Nastusia nie poszły ulicą, lecz tyłami domostw, przez sady. Nie zauważone przez nikogo wydostały się na drogę prowadzącą do stacji, minęły budynki stacyjne i ukryły się w pobliskim zagajniku. Zmęczona Oksana usiadła na ziemi pod żółtą akacją, a Nastusia pobiegła do zagrody majstra drogowego, aby zapytać o felczera, Sawwę Grigoriewicza.

Oto znajoma furtka. Dziewczynka ostrożnie zajrzała na podwórze. Wydało jej się teraz o wiele większe, gdyż było puste. Tylko przy studni dwaj żołnierze w obcych szarozielonych mundurach poili konie.

„Niemcy!" — domyśliła się Nastusia i przylgnęła do furtki. Ale żołnierze nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi. Wówczas, idąc wzdłuż ogrodzenia, doszła do chaty i śmignęła w otwarte drzwi.

Gospodyni była w kuchni i myła w cebrzyku łyżki i talerze.

— Dzień dobry — odezwała się cicho Nastusia.

Kobieta obejrzała się przestraszona.

— Mój Boże! — zawołała. — To ty, Nastka? A myśmy już myśleli... Gdzieś ty była?

— Na wsi... Idziemy teraz z Oksaną do domu.

— Z Oksaną? To ona żyje? A Sawwa Grigoriewicz tak się martwił...

Gospodyni schwyciła dzbanek z mlekiem, kawał chleba i cichutko wymknęły się z Nastusią do zagajnika.

Podczas gdy Oksana i Nastusia piły mleko, gospodyni opowiadała, jak wraz z Sawwą Grigoriewiczem ratowała rannych, jak potem drozdowcy sprowadzili ze wsi powody i kazali położyć na nie rannych, a następnie wywieźli ich nie wiadomo dokąd. Żegnając się z gospodynią felczer bardzo niepokoił się o Nastusię. Więcej gospodyni nie widziała go i nic o nim nie wie.

Wzdychając poczciwa kobieta odprowadziła Oksanę i Nastusię aż do semaforu.

— Idźcie tak, jak prowadzą szyny, a dojdziecie do samego Melitopola — pouczała. — Stamtąd do Aleksandrowska możecie już podjechać towarowym.

W Melitopolu na bocznym torze stało istotnie kilka odrapanych wagonów towarowych. Oksana z Nastusią z trudem wcisnęły się do jednego z nich i ulokowały między cudzymi tobołami wprost na brudnej podłodze. Zapadał już zmierzch i obie, straszliwie zmęczone, nie bacząc na zaduch i ciosnotę zasnęły natychmiast.

Ale nie spały długo. Na jednej ze stacji nagle zjawił się niemiecki patrol. Ciężkie drzwi wagonu rozsunęły się i do środka

wszedł jakiś cywil w mundurze telegrafisty — służył widocznie u Niemców jako tłumacz. Wraz z nim weszło dwóch niemieckich żołnierzy. Rozejrzawszy się „telegrafista" zwrócił się do siedzącego z brzegu chłopa z workiem na plecach:

— Dokumenty!

Chłop niechętnym ruchem sięgnął do kie-

szeni. Oksana z Nastusią siedziały zmartwiałe ze strachu, ale wkrótce zorientowały się, że dokumentów żądano tylko od mężczyzn, i uspokoiły się nieco. Rewizja dobiegała końca, kiedy nagle „telegrafista" zbliżył się do Oksany:

— A tę dziewczynę ja, zdaje się, znam — powiedział. — Nie jesteś czasem z „czerwonego pociągu", który przejeżdżał tędy nie tak dawno?

Oksana drgnęła, ale opanowała się natychmiast i zrobiła zdziwioną minę:

— Co pan mówi? Z jakiego pociągu?

— Zdaje mi się, żeś nawet przemawiała na wiecu...

Nastusia kurczowo chwyciła Oksanę za rękę. Jeden z Niemców, stojący w drzwiach wagonu, spojrzał na nie. Jeżeli ten przeklęty judasz piśnie mu choćby słowo, wtedy koniec!

— Przecież to moja siostra! — zawołała Nastusia. — Jedziemy do domu, byłyśmy u dziadka... — I dziewczynka tak rozpaczliwie, a zarazem przekonywająco spojrzała na „telegrafistę", że ten zawahał się na chwilę.

— *Was ist los?* *

„Telegrafista" obejrzał się. Niemcom, jak widać, spieszyło się, gdyż spoglądali na niego niecierpliwie. Jeszcze raz obrzuciw-

* *Was ist los?* (niem.) — Co się stało?

szy niezbyt pewnym spojrzeniem obydwie „siostry", cywil wyskoczył z wagonu. Niemcy ciężko zeskoczyli za nim i wszyscy trzej poszli dalej, wzdłuż pociągu.

Nastusia pociągnęła Oksanę za rękę.

— Uciekajmy! — szepnęła, ale Oksana przytuliła ją do siebie.

— Siedź cicho! Pociąg zaraz ruszy.

— A jak oni znowu przyjdą?

— Nie przyjdą. A uciekać nie wolno — zauważą i będzie jeszcze gorzej.

Dziewczynka przycichła, ale zdjęta strachem nie mogła się uspokoić, aż usłyszała gwizd lokomotywy i stacja pozostała daleko za nimi.

Po przybyciu do Aleksandrowska postanowiły nie jechać dalej koleją, ale iść na przełaj, przez leżące po drodze sioła. O nocleg prosiły zwykle w zagrodach na skraju wsi. Ludzie najczęściej przyjmowali je gościnnie, częstowali „czym chata bogata" i nie chcieli brać zapłaty.

Gospodarze nieraz dzielili się z Oksaną swoimi troskami.

Tej wiosny mieli zamiar obsiać ziemie należące dawniej do obszarników, a okazało się, że znowu wracają stare czasy. W Kijowie Niemcy ustanowili podobno władzę hetmana *, a w majątkach ziemskich rządzą

* Był to Paweł Skoropadski (1873—1945), carski generał, w 1918 roku narzucony przez Niemców Ukrainie jako jej hetman.

dawni właściciele — pozlatywali się niczym stada wron i zaprowadzają stare porządki, jakby nigdy nie było rewolucji. A ty, bracie, milcz i nie waż się pisnąć, bo Niemcy żartów nie lubią: jak cię poczęstują wyciorami, to przypomnisz sobie, gdzie raki zimują.

Nastusia, siedząc na ławce obok Oksany, słuchała uważnie i marszczyła swoje jasne brwi. Co się wyprawia na tym bożym świecie? I skąd się tutaj Niemcy wzięli? Od tych ciężkich myśli jeszcze mocniej zaciskały się wąskie wargi na szczupłej, ogorzałej twarzyczce, a oczy spoglądały poważnie i surowo.

Tak wędrowały z Oksaną od wsi do wsi, przez pola i łąki. Dokoła rozciągał się bezbrzeżny step i tylko na horyzoncie majaczyły zarysy posępnych kurhanów.

Na widok tych kurhanów dziwny smutek ogarniał Nastusię. Ilu ludzi leży w takiej stepowej mogile? I kiedy ludzie ci żyli? Oksana mówi, że bardzo dawno, tysiące lat temu. A więc i wówczas mieszkali już ludzie na tej ziemi?

Wyraz szczerej ciekawości, niczym promyk słońca, oświetla mizerną twarzyczkę Nastusi. Widzi to Oksana i zaczyna opowiadać o dawnych czasach, o Tatarach, którzy pustoszyli ukraińskie ziemie i zabierali do niewoli mężczyzn, kobiety i dzieci. Na

tych właśnie kurhanach Kozacy, aby się ustrzec przed nagłym napadem tatarskiej ordy, ustawiali swoje strażnice. I jak tylko taka straż dostrzegła na horyzoncie spiczaste czapki Tatarów, natychmiast rozpalała ognisko, przekazując tę wiadomość innym kurhanom, na których również rozpalano ogniska. W ten sposób cały kraj obiegała straszliwa wieść. Kobiety i dzieci kryły się po lasach i jarach, a mężczyźni chwytali za broń i szli walczyć z najeźdźcami.

— To znaczy, że zawsze były wojny? — ze smutkiem pytała Nastusia. — I zawsze obce wojska napadały na nas? I zawsze lała się krew?

Oksana przytakiwała. Tak właśnie było! Na Ukrainę napadała tatarska orda, polska szlachta, wojska szwedzkie... A teraz mamy tu żołnierzy niemieckiego „kajzera", cesarza Wilhelma, z którymi musi walczyć władza radziecka.

...Tak mijał dzień za dniem.

Nareszcie dotarły do Karłówki, gdzie dowiedziały się, że tutejszy most naprawia brygada remontowa połtawskich kolejarzy i że można stąd pojechać pociągiem, którym tamci dojeżdżają do pracy. Wśród kolejarzy znaleźli się znajomi i wraz z nimi, jeszcze tego samego dnia, samotne wędrowniczki przybyły na stację Połtawa Południowa.

W domu Pawła kolejarza

Przez cały czas swojej wędrówki Oksana i Nastusia miały przed sobą jeden cel — Połtawę. Dojście do Połtawy było dla nich równoznaczne z powrotem do domu, ale kiedy znalazły się w mieście, okazało się, że właściwie nie mają tu domu. Nastusia wiedziała, że przy ulicy Konstantynowskiej, we własnej kamienicy mieszkają rodzice Oksany, ludzie dosyć zamożni, ale wiedziała też, iż dla Oksany komunistki powrót do życia pod ich dachem jest niemożliwy. A że Oksana nie chciała rozstawać się z Nastusią, trzeba więc było na razie szukać dla nich jakiegokolwiek wspólnego schronienia. Nie wątpiły, że w domu Pawła kolejarza przyjmą je gościnnie, Oksana jednakże nie chciała zjawiać się tam bez uprzedniego porozumienia. Dowiedziawszy się od któregoś z robotników, że Paweł ma tej nocy dyżur w wagonowni, postanowiła najpierw odszukać go i porozmawiać.

Paweł nadzorował zestawianie składów pociągów. Pod jego kierownictwem robotnicy sortowali wagony: ze „zdrowych" zestawiali pociągi, a „chore" przesuwali do hal naprawczych.

Minąwszy wiele zwrotnic i o mało nie zabłądziwszy w ciemnościach wśród labiryntu torów, Oksana i Nastusia dotarły wreszcie do wagonowni.

Dokoła łoskotały wagony, rozlegały się gwizdki i dwukrotnie przemknęła obok nich, przeraźliwie gwiżdżąc, manewrująca lokomotywa. Ostrożnie rozglądając się na boki Oksana i Nastusia minęły długie zestawy wagonów, pod którymi tu i ówdzie migotały światełka. To robotnicy, przyświecając sobie latarkami, ostukiwali koła wagonów: „tuk — tuk", „tuk — tuk". W pewnej chwili Nastusia omal nie potknęła się o jakąś zgiętą wpół postać, która wysuwała się spod wagonu.

— Czy nie ma tu gdzieś Pawła Trocenki? — zapytała Oksana.

Robotnik wyprostował się i wskazał ręką na koniec pociągu. Poszły więc we wskazanym kierunku i obeszły wszystkie wagony, ale nie było tam nikogo. Gdzieś z boku rozległ się gwizd, rzuciły się więc w tamtą stronę, ale na próżno. I tak zapewne jeszcze długo przebiegałyby z jednego toru na drugi, gdyby sam Paweł, uprzedzony przez kolegów, nie zeskoczył do nich wprost z manewrującego pociągu.

— A więc wróciłyście — powiedział ściskając Oksanie rękę.

Potem pochylił się nad Nastusią, wziął pod brodę i podniósł jej głowę do góry tak, że pomimo ciemności zobaczyła znajomą bliznę na jego policzku.

— Żyjesz? No, to dzięki Bogu.

Westchnął głęboko i chociaż nie powie-

dział ani słowa, obie zrozumiały pełen goryczy ból zawarty w tym westchnieniu. A Paweł Trocenko, nawet nie czekając na pytanie, oświadczył rzeczowo:

— Pójdziecie teraz do nas. Odpoczniecie po podróży, ale zaczekajcie chwilę: weźmiecie coś ze sobą...

Dał znak gwizdkiem i podbiegł do manewrującej lokomotywy. Wkrótce ujrzały go znowu. Wyłonił się spoza ciemnych wagonów, trzymając w rękach sporą paczuszkę, owiniętą starannie w ciemną szmatkę. Ostrożnie rozejrzawszy się dokoła, szybko rozwinął zawiniątko, w którym zaszeleścił papier.

Nastusia przysunęła się bliżej. Co to może być? Książki? Nie. Były to paczuszki luźnych, zadrukowanych arkusików. „Odezwy" — domyśliła się. Takie ulotki widziała już dawniej w chacie Pawła kolejarza.

Paweł podał Oksanie jedną, a potem jeszcze jedną paczkę. Obie pachniały świeżą farbą drukarską.

— Skąd to? — zapytała.

— Z Kijowa... Mamy tam drukarnię... Nasi chłopcy ładują to do wagonów, na których stawiają umówione znaki. A w Połtawie, na Dworcu Kijowskim, odczepia się te wagony i weksluje do wagonowni. Tylko że tu nie jest bezpiecznie. Dobrze, żeście przyszły. Oddacie to mojej żonie, Gala już wie, co i jak...

Oksana skinęła głową i schowała ulotki pod bluzką. Nastusia również wyciągnęła rękę:

— A ja? Ja też poniosę.

— Masz i ty.

Paweł szybko i pewnie wyprowadził je z labiryntu torów. Szły teraz pustą i ciemną ulicą. Nastusia przy każdym kroku czuła dotknięcie gładkiego papieru i ten niewielki ciężar napełniał ją i dumą, i strachem. Tajemnicza, bezludna nocna ulica budziła lęk, a jednocześnie dawała poczucie bezpieczeństwa — póki nie było nikogo, póki nie słychać było żadnych kroków, nic im przecież nie groziło.

A oto już znajoma okolica. Na rogu, w suterenie, sklepik, do którego nieraz biegała Nastusia, a nieco dalej, za zakrętem, spoza starych krzaków bzu widać znajomy domek z podcieniami. W oknie migoce światełko — a więc żona Pawła jeszcze nie śpi. I rzeczywiście — kiedy lekko zastukały, natychmiast rozległy się kroki i zaskrzypiały drzwi.

W sionce stała Gala bez chustki na głowie, w narzuconym na ramiona starym żakiecie. Milcząc wpuściła do izby niespodziewanych gości i dopiero wtedy rozpłakała się tuląc do siebie Nastusię.

Dziewczynka przez chwilę czuła się w tych objęciach mała i nieszczęśliwa. Ale tylko przez chwilę, gdyż paczka ulotek,

ukryta na piersiach, przypomniała jej, że po raz pierwszy w życiu została potraktowana jak osoba dorosła, której powierzono sekretną i ważną sprawę. Zresztą nie ją jedną spotkało nieszczęście. Maksym, syn Pawła i Galiny, także został tam. Biedna matka!

Jakże się zestarzała! I włosy jej posiwiały!

Gala pospiesznie zakrzątnęła się przy kolacji — przecież na pewno są głodne po takiej wędrówce. Ale Oksana zaprotestowała — trzeba najpierw ukryć gdzieś to, co przyniosły ze sobą. Szybko powyciągały spod bluzek ulotki i Gala wyniosła je z chaty.

Nastusia tymczasem usiadła na ławie koło pieca. Było to jej ulubione miejsce jeszcze w tych czasach, kiedy mieszkała u Trocenków razem z wujem Józefem. Przytuliwszy się do ciepłego pieca zamknęła oczy, jak jej się zdawało, tylko na chwilę. Ale gdy je otworzyła, na dworze był już jasny dzień i przez malutkie okienko zaglądały do izby wesołe promienie słońca.

Nastusia zerwała się z posłania.

— A gdzie Oksana? — zapytała z niepokojem.

— Wyszła dokądś — usłyszała w odpowiedzi głos siedzącej za stołem Gali. — Niedługo wróci. A ty tymczasem odpoczywaj.

Ale Oksana nie wróciła. Nie wróciła także nazajutrz. Dopiero trzeciego dnia, późnym wieczorem, niespodziewanie zjawiła się w progu. Za nią stał wysoki i cienki jak tyka Niemiec.

W Nastusi zamarło serce. Z przerażeniem spojrzała na Pawła. „To po niego!" Ale ten jakoś wcale się nie zląkł. Spokojnie spojrzał na spóźnionych gości i nawet wstał na ich powitanie.

— Towarzysz Erich Hartmann — powiedziała Oksana. — Poznajcie się. *Genosse* Trocenko.

Paweł i Niemiec uścisnęli sobie ręce. Nastusia, zdziwiona, patrzyła na Oksanę. Ta uśmiechnęła się, mrugnęła do niej porozumiewawczo (wszystko w porządku, szczegóły później) i odwróciła się do Niemca, który coś szybko zagadał po swojemu.

— Towarzysz Hartmann mówi — przetłumaczyła Oksana — że amunicję przekażą naszym towarzyszom jutro w nocy.

Niemiec potakująco skinął głową i znów powiedział coś, powtarzając kilkakrotnie słowo „transport".

— Transport będziemy mieli — odrzekł Paweł. — Powiedzcie mu, Oksano, że o to może być spokojny. Niech podziękuje w naszym imieniu niemieckim towarzyszom i niech im wręczy ten oto podarunek.

I Paweł położył na stole paczkę odezw,

* *Genosse* (niem.) — towarzysz.

tych samych, które one przyniosły z Oksaną. Ale Nastusia dopiero teraz zauważyła, że te odezwy są drukowane w obcym języku.

— O! — ucieszył się Niemiec. — Dla niemiecki żołnierz! *Sehr gut! Vielen Dank!**

— Jutro w nocy damy więcej — dodał Trocenko — kiedy przyjedziemy po amunicję. Powiedzcie mu, Oksano.

Oksana przetłumaczyła te słowa i Niemiec, podziękowawszy raz jeszcze, ruszył do drzwi. Oksana poszła za nim, szepnąwszy Nastusi na pożegnanie:

— Nie martw się, wpadnę za kilka dni.

Ale przybiegła następnego ranka z niepokojącą wieścią. Podobno Wasyl, który pojechał do Sanżarów, został aresztowany przez niemiecki patrol. Niemieccy towarzysze zrobią wszystko, co w ich mocy, aby go zwolnić. Ale trzeba natychmiast zlikwidować to mieszkanie.

Paweł od razu zdecydował, że pojedzie z żoną do Pietrowki, wsi, gdzie mieszka jego stara matka.

— A ja? — zapytała niespokojnie Nastusia.

— Pojedziesz z nami — oświadczył, ale Oksana przygarnęła dziewczynkę do siebie.

— Nastusia zostanie ze mną. Towarzysz

---

* *Sehr gut! Vielen Dank!* (niem.) — Bardzo dobrze! Bardzo dziękujemy.

Harmasz zawiadomił, że już mamy lokal. Na przedmieściu Kobiszczany.

Nastusia chętnie podskoczyłaby z radości na samą myśl, że zamieszka razem z Oksaną. Ale pohamowała się, widząc zmartwione twarze Trocenków. Biedna matka Wasyla! Jednego syna już straciła, a teraz znowu drugi...

Lokal konspiracyjny

Nowa siedziba od razu spodobała się Nastusi. Budyneczek był niewielki — składał się wszystkiego z dwóch pokoi i kuchni — ale murowany, z przedpokojem-galeryjką, z której wychodziło się na kryty ganek obrośnięty gęstym dzikim winem. Jeden pokój zajmowała samotna staruszka, właścicielka domku, w drugim, z oknami na ulicę, zamieszkały Oksana z Nastusią. Pokój był przytulny, słoneczny, na parapetach kwitły w doniczkach purpurowe geranie, a pod ścianą stał okazały i piękny fikus.

Nastusia od pierwszej chwili zaprzyjaźniła się ze starą gospodynią Ustimowną oraz z jej dwoma ulubieńcami, kotami, noszącymi dziwaczne imiona — Abram i Konrad. Abram był czarny z białą krawatką, Konrad zaś — pręgowany jak tygrys, którego kiedyś Nastusia widziała na obrazku. Dziewczynka chętnie bawiła się z nimi, gdy

do Oksany przychodzili w ważnych sprawach jacyś ludzie i ta wysyłała ją wówczas do kuchni, żeby nie przeszkadzała w rozmowach.

Aby nie budzić podejrzeń, Oksana zameldowała się jako szwaczka i w pokoju postawiono maszynę do szycia, na której zawsze leżała nie dokończona robota. Niemal codziennie przychodzili rozmaici klienci, jednakże Nastusia wiedziała, że w rzeczywistości nie są to żadni klienci, ale towarzysze partyjni. Wiedziała też, że ich mieszkanie to znowu nie takie sobie zwykłe mieszkanie, ale lokal konspiracyjny. Oksana sama wyjaśniła jej to jeszcze wtedy, kiedy tu szły od Trocenków. Zapowiedziała też, żeby Nastusia, o nic nie pytając, wypełniała wszelkie jej polecenia. Rozumiało się to zresztą samo przez się, gdyż Nastusia zawsze słuchała wszelkich poleceń Oksany.

Zdarzało się więc często, że dziewczynka musiała spędzać wieczory w kuchni z Ustimowną. Grały wówczas w karty, w zwykłego „durnia", i gospodyni opowiadała dziewczynce straszliwe historie o rozbójnikach i duchach.

Kury śpią,
Gęsi śpią,
Kuma moja nie śpi.
Białe moje rączki
W garnku gotuje.

tajemniczo i przeciągle recytowała Ustimowna, a u jej stóp, rozciągnięte na podłodze, mruczały swoją kocią piosenkę Abram i Konrad.

W sąsiednim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, odbywała się tymczasem ważna narada, słychać było stamtąd przyciszone głosy, a przez szczelinę przenikały siwe smugi tytoniowego dymu. Potem, kiedy kończyła się narada i część osób wychodziła, Oksana zaglądała do kuchni i prosiła gospodynię, żeby przygotowała herbatę. Pozostali „klienci" zasiadali do stołu, i Nastusia przyłączała się do gości. Pamiętając o zakazie Oksany, w milczeniu piła herbatę, śmiejąc się tylko cicho z żartów, które często padały za stołem. Przodował w tych żartach i bawił wszystkich Kostek Harmasz, rozmowny i chwacki chłopak z błyszczącymi cygańskimi oczami. Nastusia przywykła już do niego, gdyż bywał u nich prawie co dzień. To on właśnie, podając się za brata Oksany, znalazł dla niej to mieszkanie. Kiedy przychodził, zachowywał się swobodnie i bezceremonialnie, jak u siebie w domu: brał bez pytania rozmaite przedmioty, a także przynosił i chował po kątach paczki i paczuszki, a nawet broń.

— To po prostu świństwo, Kostek — gniewała się Oksana. — Znowu zostawiłeś u mnie nahajkę! Nie waż się nic tutaj przynosić.

— Oksana, kochanie, jak Boga kocham, więcej nie będę! — pokornie zapewniał Kostek, ale dalej robił to samo.

Kiedy z polecenia komitetu partyjnego wyjechał na jakiś czas z Połtawy, Oksana odetchnęła. Ale wkrótce wrócił i zapomniawszy o tym, że przedstawił Oksanę jako swoją siostrę, zapytał gospodynię:

— No, jak tam moja żona?

Staruszka popatrzyła na niego:

— Jak pan wyjedziesz następnym razem, to ona już pewnie będzie pańską babką — powiedziała mrużąc drwiąco oczy.

Ale Kostka niełatwo było zbić z tropu. Wcale nie zmieszany, mrugnął porozumiewawczo do Ustimowny i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Co z ciebie, do diabła, za konspirator? — denerwowała się Oksana. — Pleciuch! Nasze szczęście, że do staruszki można mieć całkowite zaufanie.

Oprócz Kostka często odwiedzał Oksanę Hryćko Niecały, nazwany tak z powodu swego niewielkiego wzrostu, oraz jego kolega Szulak, niezwykły elegant w pięknie wyczyszczonych wysokich butach. Czasami, w niedzielę, całe towarzystwo wyruszało nad rzekę Worskła. Wynajmowali łodzie i jechali aż do Dolnych Młynów, gdzie rozpalali ognisko, gotowali kaszę, śpiewali pieśni, kąpali się i omawiali ważne i tajne sprawy.

Lato było upalne i suche. W malutkim ogródku czerwieniły się wiśnie i dojrzewały czerwone porzeczki. Nastusia z przyjemnością biegała wczesnym rankiem boso po pokrytej rosą trawie i zrywała koralowe kiście dojrzałych porzeczek.

I właśnie w taki piękny letni poranek Oksana zawołała ją do pokoju. Stała tam, ubrana jak pani: w białej, obszytej piękną koronką sukni, w białym kapeluszu i długich białych rękawiczkach, z parasolką w ręce.

— Nastusiu, jadę teraz do Sagajdaku. W odwiedziny do krewnych. Rozumiesz? Wracam jutro o dziesiątej rano. Będziesz na mnie czekała na Dworcu Kijowskim.

Dziewczynka skinęła głową.

— Słuchaj uważnie — mówiła dalej Oksana. — Kiedy nadjedzie pociąg, nie podchodź do mnie, ale trzymaj się z daleka. Pójdę najpierw do przechowalni po odbiór rzeczy. Jeżeli wszystko ułoży się dobrze, wezmę bagażowego i zawołam dorożkę. Wtedy możesz śmiało podejść do mnie i razem wrócimy do domu. Gdyby jednak zatrzymano mnie na peronie albo gdybym nie przyjechała w ogóle, wtedy natychmiast biegnij na ulicę Babiczewską. Zapamiętaj: ulica Babiczewska numer 10, dom Charchuryma. Spytasz o wujka Wanię i opowiesz mu o wszystkim. Zrozumiałaś?

— Zrozumiałam — pospiesznie odpowie-

działa Nastusia. — Najpierw mam nie podchodzić, ale jeśli co... — Nagle zamilkła i trwożnie spojrzała na Oksanę. Ta uśmiechnęła się do niej uspokajająco.

— Nic. Nic się nie stanie. Wszystko skończy się dobrze. Jestem pewna. A zresztą, Nastusiu, kiedy żyje się tak jak my, trzeba zawsze pamiętać, że niebezpieczeństwo czyha zewsząd. Nie zapominaj o tym. No, czas na mnie. Śniadanie stoi na stole, gospodaruj sobie sama.

I Oksana drobnymi kroczkami — krępowała jej ruchy modna, wąska i długa spódnica — wyszła z domu.

Nastusia nie miała ochoty na śniadanie. Sprzątnęła ze stołu i zabrała się do przeglądania starych roczników „Niwy" *, które nie wiadomo czemu, gospodyni przechowywała jeszcze z czasów wojny rosyjsko-japońskiej. Dzień bez Oksany dłużył się nieskończenie i nawet pieszczotliwe mruczenie Abrama i Konrada nie sprawiało Nastusi zwykłej przyjemności.

Nauczona, że głośno nie należy zadawać żadnych pytań, wciąż jednak zadawała je w myślach sama sobie: po co Oksana pojechała do Sagajdaku? I dlaczego mogą zatrzymać ją na peronie?

Wieczorem Nastusia usłyszała umowne stukanie w okno. Wyszła więc i otworzyła

* „Niwa" — tygodnik ilustrowany ukazujący się w carskiej Rosji.

drzwi. Na ganku stali dwaj towarzysze Oksany — Hyćko Niecały i Szulak.

— Oksana w domu?

— Nie ma jej...

— Dokąd poszła?

Nastusia chciała właśnie powiedzieć, że Oksana pojechała odwiedzić krewnych w Sagajdaku, ale zauważywszy ostre i ciekawe spojrzenie Szulaka, zacisnęła usta. Dlaczego on się tak dopytuje? I po co chce wiedzieć, gdzie jest Oksana?

— Poszła na plac Pawlenkowski — powiedziała to, co jej w tej chwili przyszło do głowy.

— A prędko wróci?

— Chyba nie — jak w natchnieniu fantazjowała dalej. — Powiedziała, żebyśmy z babką nie czekały na nią i poszły spać.

Chłopcy jeszcze chwilę stali na progu, wreszcie poszli sobie, a Nastusia zamykając za nimi drzwi pokazała im język.

Z trudem doczekawszy się następnego dnia, bardzo wcześnie wyszła z domu. Wolnym krokiem przeszła całe przedmieście Kobiszczany. Gdy znalazła się wreszcie na Małej Sadowej, przypomniała sobie, że na tej ulicy mieszka pisarz Korolenko, ten, który przemawiał na placu Siennym, kiedy zrzucono cara. Oksana niedawno przeczytała jej głośno książeczkę, jaką napisał Korolenko o biednych dzieciach, mieszkających w kamiennym podziemiu starej ka-

plicy. Opowiadanie nosiło tytuł „W złym towarzystwie". Korolenko pięknie opisał tam smutny los dwojga sierot. Jaki on dobry! Jak głęboko współczuje biednym ludziom!...

Pogrążona w tych myślach Nastusia minęła park Korpusu Kadetów, plac Sienny i idąc w dół ulicy Kurakińskiej doszła do stacji. Na Dworcu Kijowskim było pusto i cicho. Wzdłuż peronu, zmęczeni upałem, z powagą kręcili się niemieccy wartownicy. Nastusia weszła do poczekalni trzeciej klasy, siadła na długiej, twardej ławie z wysokim oparciem i z nudów zaczęła rozglądać się dokoła. Ludzi było niewiele: w kącie drzemała na swych tobołkach jakaś staruszka w białej chustce, pod oknem, zajadając chleb ze słoniną, rozsiadło się trzech zamożnych chłopów w całkiem nowych siermięgach, a jeszcze dalej, przy samych drzwiach, ulokował się pijany pop w wyrudziałej sutannie. Pop ciągle wzdychał, mamrotał coś niewyraźnie i smutno kiwał głową.

W poczekalni powietrze było ciężkie, duszne, cuchnęło machorką, i Nastusia, posiedziawszy chwilę, drugimi drzwiami wyszła na peron.

Na peronie zaczął się właśnie ruch poprzedzający zwykle nadejście pociągu. Z budynku służbowego wyszedł dyżurny w czerwonej czapce. Rozległ się dzwonek i

wtoczył się pociąg, napełniając stację białą chmurą pary. Pasażerowie rzucili się w stronę wagonów. Nastusia o mało nie pobiegła tam także, ale przypomniawszy sobie nakaz Oksany zatrzymała się, odeszła na bok i stanęła przy pobliskiej budce w taki sposób, żeby dobrze widzieć i obserwować cały pociąg.

Oksana wysiadła z wagonu drugiej klasy, uprzejmie podtrzymywana pod rękę przez jakiegoś niemłodego oficera hetmańskich wojsk. Oficer, jak łatwo się było domyślić, miał ochotę i dalej towarzyszyć damie, ale ta uśmiechając się uroczo, pożegnała go na peronie. Otworzywszy elegancką parasolkę Oksana spokojnie przeszła koło Nastusi, udając, że jej nie widzi, i weszła do przechowalni bagażu.

Dziewczynka nie spuszczała z Oksany oczu pełnych zachwytu i niepokoju. Jaka ona piękna, kiedy ubierze się jak pani! Wygląda jak królewna z bajki! Czy to możliwe, że stanie się teraz coś złego?...

Obok przechowalni stał Niemiec z karabinem u nogi. Bagażowy wyniósł rzeczy Oksany — dwa wielkie kosze z wikliny szczelnie zamknięte i obwiązane grubym sznurem — i Niemiec ruchem ręki kazał je rozwiązać. Podczas gdy bagażowy wykonywał rozkaz, Oksana coś zaszczebiotała po niemiecku zwracając się do wartownika i beztrosko kręcąc parasolką. Ten uśmie-

chał się do niej szeroko i też coś terkotał po swojemu. Tymczasem bagażowy rozwiązał sznury i podniósł wieko. W koszu leżała cienka i droga kobieca bielizna. Wartownik wyjął nocną koszulkę obszytą cienką gipiurą, ale zaraz, zmieszany, machnął ręką, żeby zabrano kosze, sam zaś zwrócił się do Oksany i zaczął coś szybko mówić, rozkładając bezradnie ręce, jakby tym gestem przepraszał i tłumaczył się przed nią. Tymczasem bagażowy znowu szybko zamknął kosze, obwiązał je i przewiesił sobie przez ramię. Oksana skinęła głową wartownikowi i bez pośpiechu, krokiem pełnym gracji, poszła za bagażowym.

Nastusia jeszcze przez chwilę stała jak skamieniała i patrzyła za nią. Wreszcie odetchnęła z ulgą i oblizała suche ze zdenerwowania wargi: co by było, gdyby wartownik sięgnął głębiej, pod tę piękną bieliznę? Przecież tam — tak przypuszczała Nastusia — była broń, może naboje, a może nawet granaty. Jak więc mogła Oksana tak spokojnie rozmawiać z wartownikiem? Kochana, odważna Oksana! Nastusia zerwała się z miejsca i pobiegła na plac przed dworcem. Oksana stała już tam przy dwukonnej dorożce i czekała, aż załadują jej rzeczy.

— Siadaj, Nastusiu! — zawołała wesoło. — Zaraz pojedziemy!

Lekko wskoczyła do dorożki i wygodnie

usadowiwszy się na miękkim siedzeniu pociągnęła za sobą dziewczynkę. Woźnica cmoknął na konie i wytworny pojazd, kołysząc się lekko na resorach, szybko pomknął wzdłuż ulicy.

Dopiero w domu, kiedy ciężkie kosze wniesiono już przez ganek do galeryjki-przedpokoju, Nastusia powiedziała Oksanie, że poprzedniego dnia pytali o nią chłopcy.

— Hryćko Niecały i ten... jak go tam? Szulak.

— Naprawdę? A ty coś im powiedziała?

Nastusia powtórzyła, co powiedziała nieproszonym gościom. Oksana ucieszyła się.

— Zuch z ciebie, Nastusiu. Nigdy nie powinnaś bez potrzeby opowiadać komukolwiek o tym, co robię. Im mniej ludzi wie o mojej wyprawie, tym lepiej.

Tego samego dnia wieczorem Oksana wyniosła z domu obydwa tajemnicze kosze.

Wsypa

...Padał drobny i zimny deszcz jesienny. Nastusia szła w górę stromą ścieżką wiodącą od chaty Baśki do ulicy Klasztornej. Zdawałoby się, że jeszcze niedawno razem z Baśką hasały beztrosko po tutejszych łąkach i piekły w popiele drobne płocie. Ale teraz zapomniały już o tych dziecięcych za-

bawach. Nastusia straciła matkę i wuja Józefa, a i Baśka została sierotą: stary Mowczan umarł w melitopolskim szpitalu na zakażenie krwi. Baśka z matką jeździły tam i wróciły przybite nieszczęściem. Na dodatek i nędza zajrzała im w oczy — żeby zdobyć pieniądze na podróż do Melitopola, matka Baśki wyprzedała się i zapożyczyła u ludzi, toteż teraz brakło w ich chacie nawet kawałka chleba. Żona Mowczana gorzko pomstowała na zmarłego męża: miała żal do niego, że „wlazł w politykę" i wstąpił do bojowego oddziału pogotowia technicznego.

— Mówiłam mu, powtarzałam: nic dobrego z tego nie wyjdzie! Ale nie chciał słuchać i złożył swoje kości daleko od domu. A mnie, nieszczęsną, zostawił samą na świecie...

Nastusia słuchała tych narzekań i przypominała sobie, co mówił wuj Józef. „Trzeba walczyć — powtarzał — o lepsze życie, bo samo nie przyjdzie". Nie byłoby chyba dobrze, gdyby robotnicy siedzieli z założonymi rękami, chociaż...

Pogrążona w smutnych myślach, powolnym krokiem wracała do domu.

— Gdzieś była tak długo? — przywitała ją niezadowolona Oksana.

— U Baśki. Właśnie wróciła z matką z Melitopola.

I Nastusia opowiedziała o śmierci Mow-

czana i o tym, w jak ciężkiej sytuacji znajduje się jego rodzina.

— Trzeba im pomóc — rzekła Oksana. — Coś się wymyśli, Nastusiu. A ja się już martwiłam, że nie wracasz. Musimy szykować się do drogi. Jutro idziemy do wsi Pietrowka. Odwiedzimy Pawła Trocenkę.

— Do Pietrowki? — aż podskoczyła Nastusia.

— Tak. W tamtą stronę pójdziemy pieszo, a z powrotem przyjedziemy.

Tym razem Oksana wyglądała zupełnie inaczej niż w tedy, kiedy jeździła do Sagajdaku. Szeroka spódnica, sznurowane buciki, ciemna chustka i koszyk w ręce uczyniły ją podobną do wieśniaczki, która raniutko była w Połtawie na bazarze, a teraz wraca do swojej wsi. Nastusia zaś niosła węzełek, z którego wysuwały się długie cukierki pięknie owinięte w kolorowe papierki.

Minąwszy Szwedzką Mogiłę wyszły na szeroki Trakt Zinkowski. Ranek był mroźny. Czysty horyzont zapowiadał dzień jasny, ale chłodny. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola, na których to tu, to tam, widniały niewysokie kamienne słupki — ślady redut — upamiętniające krwawą bitwę Piotra I ze Szwedami.

Oksana opowiedziała Nastusi, że wieś Pietrowka otrzymała swoją nazwę właśnie od imienia cara Piotra, który w tym

miejscu, gdzie leży ta wieś, przeszedł na czele swej wielkiej armii Worskłę.

Pod lasem Oksana z Nastusią skręciły na prawo. Wkrótce droga niczym wąż popełzła w dół, pomiędzy dwoma gliniastymi urwiskami. Nastusia w podskokach biegła z góry i zatrzymała się koło źródła płynącego pod wierzbą obok drogi.

— To jest zapewne to samo źródło, z którego niegdyś Natałka Połtawka brała wodę — rzekła podchodząc Oksana. — Jest taka sztuka, Nastusiu. Nazywa się „Natałka Połtawka". Ta Natałka mieszkała właśnie w tej wsi, w Pietrowce, a napisał o niej nasz krajan, Iwan Kotlarewski. Wezmę cię kiedyś do teatru na tę sztukę. Tam śpiewają piękne pieśni...

I Oksana zaśpiewała cichutko:

Czemu woda mętna?
Gdzie ją fala niesie?...

— Znam tę pieśń — odezwała się Nastusia. — Moja mama śpiewała ją podczas pracy. Mama często śpiewała pieśni, ale wszystkie smutne, bardzo smutne... A najczęściej to śpiewała tak:

Oj, bieda, bieda, bo w złą godzinę
Przeklęła matka swoją dziecinę.
A możem taka już się rodziła,
Bym ciągle gorzkie łezki roniła?

— Nie znałam wcale tej piosenki — cicho odezwała się Oksana.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale umilkła, gdyż zauważyła, że na wspomnienie matki Nastusia smutnie spuściła głowę.

Milcząc szły dalej, aż znalazły się we wsi. Oksana wiedziała, że trzeba dojść do mostku, przejść przez Worskłę, następnie skręcić w lewo i spytać o chatę starej Trocenkowej.

Paweł kolejarz, jak widać, spodziewał się Oksany, bo jej wizyta nie dziwiła go wcale. Jego żona wprowadziła gości do izby, gdzie czekało śniadanie, i tutaj Nastusia ku swojemu zdziwieniu ujrzała Wasyla. A więc uratował się! Jedząc, ukradkiem przyglądała się chłopcu i wciąż miała na końcu języka pytanie, które zadała mu wreszcie:

— Wasylu, czy uciekłeś od Niemców?

Ten na chwilę przestał jeść:

— Od jakich Niemców?

— Przecież złapali cię Niemcy, jeszcze latem... Oksana mówiła.

— Nie, Nastusiu, to nie jego — odezwała się matka Wasyla. — Na szczęście! Bo już oczy sobie wypłakałam...

Krótki dzień jesienny minął szybko. Nastusi kazano wcześniej położyć się spać, gdyż nazajutrz wyruszano skoro świt.

Była jeszcze ciemna noc, kiedy ją obudzono. Zerwała się na wpół senna i wyskoczyła za próg, jeżąc się z zimna. Na

dworze stał wóz, a obok niego krzątały się jakieś cienie. To Paweł kolejarz z Wasylem kładli na wóz worki z kartoflami przykrywając nimi leżące na dnie karabiny. Kiedy już wszystko było skończone, Oksana i Nastusia, opatulone w ciepłe chustki, wlazły na wóz i ulokowały się na workach. Wasyl z batem w ręce siadł na przodzie, ruszył lejcami i wóz powolutku wyjechał na drogę.

Nastusia siedziała przytulona do Oksany i bacznie wpatrywała się w gęstą mgłę przedświtu. Cisza panowała dokoła. Rytmicznie postukiwały końskie kopyta. Dziewczynkę znowu ogarnęła senność. Ocknęła się dopiero wtedy, kiedy już podjeżdżali do Szwedzkiej Mogiły.

Wschód słońca gorącą purpurą zabarwił niebo. Na drodze zaczęły pojawiać się kobiety dźwigające na nosidłach ciężkie kosze. Wkrótce wóz zaturkotał na brukowanej kamieniami jezdni — wjechali na ulice Połtawy.

Nastusia nagle poczuła lęk. Przypomniała sobie, co leży ukryte pod workami kartofli. Co będzie, jeżeli ich wóz zatrzyma patrol? Ze strachem patrzyła na wojskowych, którzy mijali ich po drodze. Niemiec, żołnierz z armii hetmana, znowu dwaj Niemcy. Ale wszyscy oni obojętnie szli swoją drogą. Nikogo nie interesowała wiejska furmanka zmierzająca powoli w stronę bazaru.

Och, jakże powoli! Po prostu trudno opanować niecierpliwość!... Dlaczego ten Wasyl wcale nie popędza konia?

Kiedy znaleźli się tuż przy bazarze, Oksana trąciła w ramię Wasyla. Skręcili teraz w boczny zaułek i zatrzymali się przed podwórzem ogrodzonym wysokim parkanem. Cała trójka zeskoczyła z wozu i Oksana zastukała do furtki. Na ulicę wyjrzał jakiś dziadek w wyliniałej barankowej czapce. Skinął głową Oksanie i otworzył bramę.

— Pamiętaj, Wasylu: zawieź kartofle Mowczanom. Nie zapomnij — upomniała Wasyla Oksana. — Wiesz, gdzie mieszkają?

— Wiem.

Wasyl wziął konia za uzdę i zaprowadził na podwórze, a dziadek zamknął bramę.

Oksana westchnęła z ulgą.

— No, to wszystko. Chodź, Nastusiu.

W domu zastały gospodynię, która w ich pokoju zamiatała ze stołu okruchy chleba i resztki śledzia. Była zła i nachmurzona.

— Pewnie Kostia tu był — domyśliła się Oksana.

— A któż by inny? — mruknęła gospodyni. — Co to za świszczypała!... Doprowadzi kiedyś do jakiegoś nieszczęścia, zobaczycie!

Staruszka oczywiście nie przypuszczała ani przez chwilę, że jej proroctwo spełni się tak szybko. Tym bardziej nie spodzie-

wała się tego Oksana. Toteż wieczorem, kiedy rozległo się umówione stukanie, spokojnie poszła otworzyć drzwi, ruchem ręki, jak zwykle, wysyłając Nastusię do kuchni. Dziewczynka, nachyliwszy się, gładziła czarną aksamitną sierść ocierającego się o jej nogi Abrama, a jednocześnie nasłuchiwała, co się dzieje u drzwi wejściowych. Po galerii głośno tupotały czyjeś buciory. Słychać było, że przyszło kilka osób, co najmniej cztery czy pięć. To dziwne. Do Oksany zazwyczaj schodzili się towarzysze w pojedynkę, najwyżej we dwóch i nigdy nie robili hałasu.

I nagle z pokoju doleciał nieznajomy, ostry i rozkazujący głos. W odpowiedzi rozległ się głos Oksany — dźwięczny i pełen napięcia.

Nastusia spojrzała na Ustimownę. Ta przeżegnała się kilka razy i przycupnęła na swojej skrzyni.

Nieszczęście! Dziewczynka chciała biec do pokoju, ale w tej samej chwili drzwi do kuchni otworzyły się i przed Nastusią wyrosła obca postać w oficerskim szynelu.

— A tu kto mieszka? — rozległ się ten sam rozkazujący i ostry głos.

Oksana stała tuż za oficerem, blada, ale na pozór spokojna.

— Gospodyni ze swoją wnuczką — odpowiedziała patrząc wymownie na Nastusię. „Milcz! Nie zbliżaj się do mnie!" — na-

kazywało to spojrzenie. I Nastusia nie ruszyła się z miejsca.

Żołnierze zaczęli przetrząsać rzeczy w pokoju Oksany, a oficer zasiadł przy stole i rozłożył przed sobą arkusz czystego papieru.

— Niech pani siada — sucho zaprosił Oksanę, wskazując oczyma krzesło.

— Bardzo pan uprzejmy, dziękuję — odpowiedziała nie ruszając się z miejsca.

W jej słowach zabrzmiała wyraźna kpina, ale oficer tego nie zauważył albo nie chciał zauważyć. Zaczął coś szybko pisać, gdy tymczasem żołnierze przetrząsali łóżko. Zrzucili na podłogę poduszkę, podnieśli pierzynę...

— Panie poruczniku, broń! — krzyknął znienacka żołnierz zwracając się do oficera. W jego rękach błysnęła krucza czerń rewolwerowej stali.

Oksana gwałtownie uniosła głowę.

— Nieprawda! Nie mam żadnej broni — krzyknęła i dodała już spokojniej: — Panie oficerze, protestuję! Jakim prawem podrzucają mi tutaj „dowody rzeczowe"? Nawet carska żandarmeria nie pozwalała sobie na takie numery.

Oficer spojrzał na Oksanę.

— O-o, pani, jak widzę, jest osobą doświadczoną — powiedział ironicznie. — Jeżeli się nie mylę, z zawodu jest pani szwaczką?

— Tak — odparowała Oksana. — A co? Panu się bardziej podobają szwaczki analfabetki?

— O, nie, na odwrót! Jestem zachwycony... Ale wracajmy do sprawy — powiedział już innym, oficjalnym tonem, biorąc rewolwer do ręki. — Pani naprawdę twierdzi, że to nie pani broń?

— Oczywiście! — Oksana przez chwilę, może dłużej, niż trzeba było, patrzyła na rewolwer, ale opamiętała się zaraz i obojętnie odwróciła oczy.

— Wobec tego może pani nam powie, do kogo z pani towarzyszy konspiratorów należy ten rewolwer?

Nastusia zadrżała. Ona już wiedziała. Tak! To był rewolwer Kostka. Nie dalej jak przed tygodniem chwalił się tutaj swoim nowym nabytkiem. Było jasne, że Oksana także poznała ten rewolwer, gdyż znów niepostrzeżenie zerknęła na Nastusię i powiedziała twardo, akcentując wyraźnie każde słowo:

— Nie mam żadnych towarzyszy konspiratorów. Jasne? I w ogóle nie zamierzam więcej odpowiadać na pańskie pytania.

— Ach, tak... — oficer spokojnie odłożył rewolwer. — No, cóż? Będziemy więc musieli kontynuować naszą rozmowę w innym miejscu.

Wstał zza stołu, złożył swoje papiery i rozkazał Oksanie, żeby się ubierała. Oksa-

na szybko włożyła aksamitny żakiet i obwiązała się chustką.

— Do widzenia, Ustimowna, do widzenia, Nastusiu — dobiegł dziewczynkę jakby gdzieś z daleka głos Oksany. — Nie martwcie się, wszystko będzie dobrze.

Gęsta, szara mgła przysłoniła oczy Nastusi. Kiedy wreszcie osiadła na jej rzęsach kroplami łez, w pokoju nie było już nikogo. Tylko koty, Abram i Konrad, bezszelestnie stąpając po podłodze, z niezadowoleniem obwąchiwały porozrzucane rzeczy.

Karabin maszynowy na strychu

Nastusia, wstrząśnięta nowym nieszczęściem, długo stała w pustym pokoju i patrzyła przed siebie, nic nie widząc dokoła. Wreszcie Ustimowna wzięła ją za rękę i zaprowadziła do siebie.

Była późna noc. Nastusia posłusznie rozebrała się i położyła obok staruszki, nie zdając sobie nawet sprawy, że leży w cudzym łóżku. Nawet we śnie czuła przygniatający ciężar nieszczęścia i kiedy otworzyła oczy, jej pierwszą myślą było: „Koniec. Skończyło się wszystko".

Nie wątpiła, że jeżeli żandarmi hetmana śledzili Oksanę, to wiedzą już o przywiezionych karabinach. Aresztowali też zapew-

ne Kostkę Harmasza i innych. A może nie? Może towarzysze Oksany nie wiedzą o tym, co się tutaj stało?

Dziewczynka kręciła się po domu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, i nagle, spojrzawszy przypadkowo w okno, przylgnęła twarzą do szyby: na ulicy mignęła dobrze znajoma postać.

Gwałtownie rzuciła się ku drzwiom i... o mało nie uderzyła nosem w skórzaną kurtkę Kostka Harmasza.

— Jak się masz, Nastusiu — zaczął po swojemu głośno i wesoło, ale od razu przycichł zauważywszy jej pobladłą i smutną twarzyczkę. — Co się stało? — zapytał niespokojnie. — Oksana w domu?

Dziewczynka nie mogła wydobyć głosu z zaciśniętego gardła. Ciągnąc Kostka za rękaw w głąb mieszkania wyszeptała wreszcie:

— Wzięli Oksanę...

— Co ty mówisz? Kiedy?

— Wczoraj... I twój rewolwer.

— Mój rewolwer? O, do diabła! A ja go szukałem... Ale kto naprowadził żandarmów na ten ślad? Czy czasem nie Szulak? Już dawno wydawał mi się podejrzany... No, trudno, jeszcze wpadnie w moje ręce! A Oksanę wyciągniemy, Nastusiu! Takie rzeczy teraz się dzieją! Już wkrótce skończy się panowanie hetmana!

— A Niemcy?

— O, Niemcy mają teraz własne kłopoty! W Niemczech też zaczęła się rewolucja!

I Kostek uspokajająco poklepał Nastusię po ramieniu:

— No, bądź zdrowa i głowa do góry!

Po tych słowach Harmasz wyskoczył na ulicę i pospiesznie znikł za rogiem, a Nastusi po jego odejściu zrobiło się nieco lżej na sercu.

Dzień minął spokojnie, ale jeszcze przed świtem dziewczynka ocknęła się nagle i zerwała z łóżka. Słychać było dalekie strzały. Co to? Może już wypędzają z Połtawy wojska hetmana? Odgłosy dalekiej walki powoli cichły i nowy poranek wstawał wśród ponurej i złowieszczej ciszy.

Po obiedzie Nastusia nie mogła już usiedzieć w domu i wyszła na ulicę. Ale kiedy znalazła się za rogiem, ujrzała kilku żołnierzy hetmana i straciła ochotę do dalszego spaceru.

W domu zastała sąsiadkę, znajomą gospodyni, która przyszła z nowinami: nocą do Połtawy wdarli się czerwoni, opanowali Dworzec Kijowski i więzienie, zwolnili wszystkich aresztowanych i potem wycofali się z miasta.

Nastusia aż podskoczyła. Zwolnili aresztowanych? A więc i Oksanę? Ale dlaczego wycofali się z miasta? Niepewnie spojrzała na sąsiadkę, a ta ze współczuciem pokiwała głową:

— Biedactwo! Zupełnie jak pisklę, co wypadło z gniazda. Gdzie ona teraz się podzieje?...

— Na ulicy nocować nie będzie — żachnęła się Ustimowna. — Na razie zostanie u mnie...

— Tak, tak — zgodziła się sąsiadka. — Wiadomo przecież, że nasza Ustimowna ma dobre serce... Ale czy nie należałoby zwrócić się o pomoc do Czerwonego Krzyża? Przewodniczącym jest tam Korolenko...

— Korolenko? Pisarz Korolenko? — zapytała Nastusia.

— Tak. Każdy biegnie do niego, gdy mu się przytrafi jakaś bieda. Ratuje ludzi od więzienia i biedakom nie daje zginąć z głodu... A najbardziej się troszczy o sieroty...

Ustimowna niechętnie machnęła ręką:

— A po co mam zawracać głowę Korolence? Jeszcze z głodu nie umieramy. A potem się zobaczy...

Minął tydzień. Na dworze było pochmurno, wiały przejmujące wiatry, padały deszcze na przemian ze śniegiem. Nastusine trzewiki przemakały i Ustimowna nie pozwalała jej wychodzić z domu. W Połtawie panował spokój, ale czuło się, że jest to cisza przed burzą, pełna niepokoju, nabrzmiała oczekiwaniem nowych zdarzeń.

Nastusia żyła w takim właśnie ciągłym oczekiwaniu. Wierzyła, że Oksana nie na próżno naradzała się potajemnie z towa-

rzyszami, nie na próżno przywoziła broń do Połtawy. „Już wkrótce skończy się panowanie hetmana!" — pocieszała się w myślach słowami Kostka Harmasza.

Wreszcie deszcz przestał padać, kałuże wyschły i Ustimowna pozwoliła Nastusi iść do Baśki w odwiedziny. Dziewczynka nie szła, a biegła na Kolonię, żeby jak najszybciej ujrzeć swoją przyjaciółkę.

Baśka także ucieszyła się na jej widok. Będzie miała wreszcie z kim pogadać, bo matka jest wciąż taka smutna i milcząca! W chacie ponuro jak w mogile.

Dziewczynki wlazły na piec i długo tam szeptały. Nawet nie zauważyły, że zapadł mrok, i Nastusia musiała zostać na noc w chacie Mowczanów. Nad ranem, jeszcze przed świtaniem, obudziła ją znowu daleka kanonada. Kanonada ta stawała się coraz bliższa i głośniejsza. Dziewczynka leżała nieruchomo w ciemnej chacie, serce w niej zamierało przy każdym głośniejszym huku. Nagle coś grzmotnęło zupełnie-blisko. Matka Baśki obudziła się także i zapaliła kaganek. Nastusia uniosła głowę — stary zegar na ścianie wskazywał godzinę pół do szóstej.

— Nie śpisz? — spytała ją matka Baśki.

— Nie.

Gospodyni wsunęła nogi w stare przydeptane kapcie i poczłapała po izbie.

— Skaranie boskie! Nie ma spokoju ani

w dzień, ani w nocy. Kiedy wreszcie skończy się ten rozgardiasz i ta pukanina?

Ale „ta pukanina" nie milkła, na odwrót — potęgowała się. Teraz już zewsząd słychać było strzelaninę. Podniecona Nastusia, nie panując nad sobą, szturchnęła Baśkę.

— Nasi atakują! Słyszysz, Baśka?!

Około południa, kiedy nieco przycichło, Nastusia oświadczyła przyjaciółce:

— Baśka, ja już pójdę.

— Dokąd?

— Do domu.

— Też pomysł — odezwała się matka Baśki. — Słyszysz chyba, co się wyrabia. Poczekaj przynajmniej, aż się uspokoi.

— Kiedy już jest spokojnie. A tam babka pewnie bardzo martwi się o mnie.

Matka Baśki machnęła ręką:

— No, to idź, kiedy tak ci śpieszno... Ale uważaj...

Nastusia nie słuchała dłużej. Szybko ubrała się, pożegnała i wybiegła na ulicę.

Nieprzezwyciężona siła gnała ją naprzód, tam gdzie jeszcze przed chwilą grzmiał bój. Jedna myśl opanowała ją całkowicie: musi dotrzeć do swoich i dowiedzieć się czegoś o Oksanie.

Na placu Siennym było pusto. Na ulicy Kurakińskiej leżał obalony pękaty słup ogłoszeniowy. Nastusia obeszła go i pobiegła dalej, do parku Korpusu Kadetów, ale zaledwie doszła do budynku, w którym

mieszkał ongiś generał Pawlenko, gdy nad jej uchem zaświstała kula. Przestraszona, przywarła plecami do ściany domu. Z gmachu korpusu, z tej strony, którą wychodziła na plac i gdzie znajdowała się brama wejściowa, posypała się seria z karabinu maszynowego. W odpowiedzi z ulicy Ostrogrodzkiej rozległo się kilka wystrzałów.

Nastusia pobiegła z powrotem na ulicę Kurakińską, gdzie było cicho i można było odetchnąć swobodnie.

„Chyba trzeba wracać — pomyślała. — Przez park Korpusu Kadetów nie uda mi się przejść!"

Postanowiła skręcić w najbliższy zaułek i iść inną drogą.

Nagle od strony placu Siennego dobiegł jakiś niezwykły stukot i sapanie. Obok Nastusi, parskając sinym dymem, przejechała ciężarówka. W Połtawie rzadko widywało się samochody, toteż dziewczynka spoglądała na to cudo oczami pełnymi zachwytu i z przyjemnością wdychała niezwykły, przyjemnie drażniący nozdrza zapach benzyny. Ale w tej samej chwili auto, huknąwszy przeraźliwie, zatrzymało się, skrzypnęły drzwiczki kabiny, wyskoczył z niej kierowca i zaczął reperować silnik. W ciężarówce jacyś mężczyźni poruszyli się niespokojnie, a jeden z nich, niewysoki i chłopięco szczupły, wychylił się w stronę kierowcy.

Postać ta wydała się Nastusi znajoma. To chyba Wasyl? Ależ oczywiście! Brązowa czapka zsunięta na bakier, w rękach karabin...

— Wasyl! — zawołała i podbiegła do ciężarówki.

Wasyl obejrzał się i lekko zeskoczył na jezdnię.

— Nastusia!

— Wasyl, kochany, powiedz, co się tutaj dzieje? Czy nasi są w Połtawie? Gdzie twój ojciec?

— Tak, Nastusiu, nasi są w Połtawie! Już o świcie został wzięty Dworzec Kijowski i wojska hetmańskie cofnęły się do placu Siennego. Teraz nasi są w czerwonych koszarach. I mój ojciec tam jest. A hetmańscy cofnęli się aż do gmachu sądu okręgowego.

Za rogiem ulicy zaterkotał karabin maszynowy.

— Kto to strzela?

— Jakiś drań ulokował się na strychu Korpusu Kadetów i praży ogniem tak, że nie można dojść do sądu okręgowego. No, ale to nic! Widzisz, jakiego zdobyliśmy rumaka? Zaraz tam będziemy i... No, co u ciebie, Michale?...

Kierowca wciąż nie mógł zapuścić silnika. Na pytanie Wasyla wzruszył tylko ramionami.

— Wysiadł silnik? Niech to diabli! — rozległ się z kabiny znajomy głos i na

stopniu ukazał się Kostek Harmasz. Lewą rękę miał obwiązaną zakrwawioną szmatą, ale minę dziarską, jak zawsze.

— Patrzcie no... Nastusia! Co ty tu robisz? Wracaj zaraz do domu! Tu strzelają!

Nastusia chwyciła go za rękaw.

— Co z Oksaną? Uratowana?

Kostek, zmieszany, podrapał się w głowę.

— Nie ma Oksany... Ludzie hetmana musieli wywieźć ją z Połtawy...

— Wywieźć? Dokąd?

— Diabli ich wiedzą! Ale to nic! My ją spod ziemi wydostaniem! Niech tylko...

Nowa seria z karabinu maszynowego nie pozwoliła mu skończyć.

— Co za diable nasienie! — splunął Kostek. — Ulokował się tam i terkocze... Och, żeby ten łotr wpadł mi w ręce!

— Słuchaj! — Nastusia aż drżała z przejęcia. — Ja wiem, jak się tam dostać, tam gdzie stoi ten karabin! O, przez to podwórze!

Wskazała ręką na bramę, która wychodziła na ulicę Kurakińską.

— Skąd ty to wiesz?

— Służyłam u generała, który tu mieszkał! Niech Wasyl powie.

Wasyl przytaknął.

— No więc? — zainteresował się Kostek. — Co robimy?

— Przeprowadzę was kuchennymi scho-

dami na sam strych. Myśmy tam bieliznę wieszały...

Kostkowi rozbłysły oczy.

— Świetny pomysł, niech to diabli! Zlikwidujemy ten karabin maszynowy i nasi bez przeszkód dojdą do gmachu sądu! No, Nastusiu, prowadź!

Kierowca został przy samochodzie i dalej dłubał w silniku, a Harmasz, Wasyl i jeszcze dwóch uzbrojonych chłopców znikli w bramie, cicho idąc za Nastusią przez podwórze aż do kuchennej klatki schodowej.

Dziewczynka bez tchu wbiegła po schodach, zatrzymała się na samej górze i pchnęła nogą drzwi wiodące na strych. Drzwi skrzypnęły, uchyliły się i ukazały mroczne wnętrze...

Harmasz pierwszy przestąpił próg, za nim towarzysze.

Wasyl, uśmiechając się do Nastusi, ostatni zniknął za ciemnymi drzwiami. A ona stała jeszcze przez chwilę, wsłuchując się czujnie w ostrożne kroki, które oddalały się coraz bardziej... Wiedziała, że chłopcy muszą przejść przez całą długość ciemnego i pełnego pajęczyn strychu, żeby dojść aż do drugiego skrzydła wielkiego gmachu. Czy im się uda bezszelestnie podejść cekaemistę?

Powoli schodziła ze schodów. W bramie zatrzymała się nasłuchując. Karabin maszy-

nowy na strychu, który wciąż dawał o sobie znać krótkimi seriami, nagle jakby zachłystnął się i zamilkł. A po kilku minutach za plecami Nastusi ożyło podwórze: stuknęły drzwi kuchennej klatki schodowej, dało się słyszeć tupotanie nóg i obok dziewczynki, ciągnąc za sobą karabin maszynowy, przebiegli Harmasz i Wasyl. Za nimi szli dwaj uzbrojeni chłopcy prowadząc śmiertelnie przerażonego hetmańskiego cekaemistę.

W jednej chwili karabin maszynowy znalazł się na ciężarówce. Kierowca zapuścił naprawiony wreszcie silnik i ciężarówka z łoskotem i rykiem pomknęła przez park Korpusu Kadetów w stronę sądu okręgowego.

Nastusia wyszła z bramy i powoli poszła na Kobiszczany, do domu.

Kiedy skręcała w boczną ulicę i spojrzała za siebie, dobiegły do niej od strony parku głośne krzyki: „Hura!", a wieczorem nie było już w Połtawie ani jednego żołnierza spod znaku hetmana Skoropadskiego.

Następnego ranka na Kobieszczany przyjechał Paweł Trocenko i zabrał Nastusię do siebie, do Pietrowki.

Żołnierze generała Denikina *

Woda w rzece Worskła była tak zimna, że Nastusi grabiały ręce, kiedy prała i płukała bieliznę. Pospiesznie wyżęła więc ostatnią koszulę, zawinęła wszystko w duże prześcieradło, wzięła na ramię mokry tobołek i wbiegła na stromy, gliniasty brzeg.

W dole, u jej stóp, między wąskimi pasmami białego piasku kapryśnie wiła się rzeczka. Jej wody, przejrzyste, jak to bywa w pogodne dni jesienne, wydały się głębsze niż zwykle. Nad przybrzeżnymi wierzbami wisiało nisko blade jesienne słońce, a na wysokim brzegu leżały, niczym niechcący rozsypane nitki paciorków, porozrzucane chaty wsi Pietrowka.

Dziewczyna poszła ścieżką, która wiodła przez sady aż do chaty Trocenków. Węzełek był ciężki, jednakże Nastusia szła wyprostowana, nie garbiąc się i lekko stąpając w swoich niezbyt zgrabnych bucikach, uszytych przez wiejskiego szewca. W ciągu roku spędzonego w Pietrowce urosła i okrzepła, jej opalone na słońcu ręce przywykły już do wiejskiej pracy. Matka Pawła kolejarza, babka Trocenko, zmarła jeszcze wiosną, a jego żona, zwana przez wszystkich ciotką Galą, ciężko chorowała

* Denikin Anton (1872—1947) — rosyjski generał, jeden z organizatorów kontrrewolucji w latach 1918—1920. W 1918 roku zajął część Ukrainy.

i gdyby nie Nastusia, nie miałby kto oporządzać całego gospodarstwa Trocenków.

...Stanęła na chwilę, głęboko wdychając ostre powietrze jesiennego poranka. Nagle zamarła i wstrzymując oddech nasłuchiwała niespokojnie. Za wierzbami, na mostku, rozległ się lekki stukot końskich kopyt. Kilku jeźdźców w szarych wojskowych szynelach wjechało na stromy brzeg i pogalopowało przez wieś środkiem ulicy.

Żołnierze Denikina! Czego tu chcą? Jakie licho przygnało ich do wsi? Może znowu szukają Pawła Trocenki, „bolszewickiego komisarza"? Już od dwóch miesięcy, od czasu kiedy biali wyparli czerwonych i niczym tatarska horda zagarnęli Połtawę i jej okolice, Paweł Trocenko nie pokazywał się w swojej chacie. Biali, którzy mieli siedzibę we wsi Tachtaułowo, gdzie znowu rządziła „gmina", a nie rada, już dwukrotnie zaglądali do Pietrowki. I dzisiaj także! A trzeba pecha, że Paweł kolejarz przyjechał właśnie do domu, aby odwiedzić chorą żonę. Co będzie, jeżeli denikinowcy wpadną do chaty?

Dziewczyna ruszyła teraz biegiem i przez sad wpadła na podwórze. Powiesiwszy węzełek z mokrą bielizną na płocie wbiegła do chaty, gdzie Trocenko siedział na ławie obok leżącej tam przykrytej pierzyną ciotki Gali.

— We wsi denikinowcy!

Trocenko zerwał się na równe nogi.

— Niemożliwe! Widziałaś ich? Gdzie?

— Szłam znad rzeki, a oni przejechali przez most i ruszyli w stronę szkoły...

— Mój Boże! — jęknęła ciotka Gala. — Przecież oni cię złapią! Uciekaj, Pawle!

— Uspokój się, Gala. — Paweł kolejarz pogładził żonę po ramieniu. — Nie złapią. Gdyby wiedzieli, że jestem w domu, nie pojechaliby do szkoły, ale od razu wpadliby do nas, do chaty. Zresztą, więcej mnie tu nie zobaczą. Umówiłem się z dziadkiem Filipem — ma zaraz przyjechać i odwieźć ciebie i Nastusię do wsi Gawrońce. Tam przeczekacie, dopóki nie przepędzimy białych. Tak będzie bezpieczniej. No, na mnie już czas. A ty dbaj o siebie, słyszysz?

Ale ciotka Gala wcale go nie słuchała.

— Uciekaj, uciekaj... Oni tu zaraz będą... Uciekaj! — powtarzała, trzęsącymi rękami podając mężowi czapkę.

Paweł Trocenko posłusznie wziął czapkę i ruszył ku drzwiom.

— Dbaj o siebie! Zobaczymy się wkrótce! — zawołał od proga i wybiegł z chaty.

Ciotka Gala bezsilnie opadła na poduszki. Nastusia wyjrzała przez okno. Postać Pawła kolejarza śmignęła w sadzie i znikła w gęstych krzakach czarnego bzu.

Dziewczynka wiedziała, że sadami Paweł dotrze aż do wąwozów za Pietrowką, a tam już znajdzie swoich. Obejrzała się, żeby

uspokoić ciotkę Galę, i krzyknęła przerażona: chora dyszała ciężko, konwulsyjnie przyciskając do serca obie zaciśnięte dłonie.

Nastusia pobiegła do wiadra po wodę. Rozlewając połowę, przyniosła kubek i dała napić się chorej. Ale była tak zdenerwowana, że oblała jej twarz i szyję.

— Och, przepraszam! — schwyciła ręcznik, ale ciotka Gala wytarła się rękawem koszuli.

— Nic nie szkodzi, już mi lepiej.

Nastusia usiadła obok chorej i z niepokojem patrzyła na jej bladą twarz i przymknięte powieki.

— Och, gdyby tu była Oksana... Ona by pomogła, wyleczyła... — powiedziała jak widać głośno, bo chora otworzyła oczy.

— Oksana?... A czy wiesz, Nastka... Paweł właśnie mi mówił... Ktoś powiedział...

— Co powiedział?!

— Że podobno... siedzi w połtawskim więzieniu. Ktoś widział, jak przez okienko machała ręką. Ale Paweł nie wierzy: skąd by się tam znowu wzięła, jeżeli ją biali wywieźli z Połtawy?

— A dlaczego nie? Wszystko możliwe! — z gorącym przejęciem zaczęła Nastusia.

Już prawie rok minął, a ona wciąż żyła nadzieją, że otrzyma jakąś wiadomość od Oksany. Że Oksana żyje, nie wątpiła ani przez chwilę i ta pewność tliła się w niéj,

jak tli się żarzący węgielek pod wygasłym popiołem. No i właśnie — ciotka Gala mówi przecież, że ktoś widział Oksanę...

— Och, ciociu Galu! Co teraz robić?

— Jeszcze nie wiadomo, czy to rzeczywiście była Oksana.

— Ona, ona! Ja wiem... Jak ją ratować? Jak wydobyć z więzienia?

Ciotka Gala milczała przez chwilę, potem powiedziała cicho:

— Trzeba by zwrócić się do Korolenki... On może pomóc...

— Do Korolenki?

W sercu Nastusi obudziła się nadzieja. Przecież jeszcze u Ustimowny słyszała, że Korolence nieraz udawało się zwolnić z więzienia aresztowanych. Nawet Niemcy liczyli się z nim, a cóż dopiero denikinowcy! Nie odważą się chyba odmówić znanemu pisarzowi! A więc nie ma się co zastanawiać — trzeba zaraz ruszyć do Połtawy i błagać Korolenkę, żeby pomógł uwolnić Oksanę!

Ciotka Gala nie wzbraniała jej tej podróży, ale nie teraz. Teraz trzeba było zapakować trochę niezbędnych rzeczy, bo przecież miał po nie przyjechać dziad Filip... Nastusia zakrzątnęła się żywo, ale zanim zdążyła zawiązać dwa węzełki, na podwórze wjechała furmanka i mały, kulawy dziad Filip przykuśtykał do sieni. Zdjąwszy baranią starą czapkę, zajrzał do izby.

— No, jak tam? Jesteście gotowe? — za-

pytał. I dodał gniewnie: — Nie pora teraz na guzdranie...

Ale ujrzawszy, że chora rusza się z trudem, westchnął:

— Och, ciężkie grzechy nasze...

Pomógł Nastusi wyprowadzić chorą z chaty, posadzić na wozie i obłożyć poduszkami. Nastusia ulokowała się obok, a w końcu dziadek Filip podskoczył niczym młody chłopak i usadowił się przy koniach.

Wóz skrzypiąc wyjechał na drogę...

W obejściu Trocenków zapanowała cisza. Pod chlewem spokojnie grzebały w ziemi kury, nawet nie podejrzewając, że zostawiono je na łasce losu. Ruda kotka Murka leżąc na przyzbie beztrosko wygrzewała się na słońcu.

Nagle jakby wichura naleciała na cichą zagrodę — zagrzmiało, zatupotało, zza rogu wyskoczyli konni denikinowcy i pchnąwszy nie domknięte wrota wpadli na podwórze. Rozległo się przerażone gdakanie kur, zatrzeszczały pod uderzeniami kolb i butów drzwi chaty, z okien posypały się szyby...

Po podwórzu, na sytym, wypasionym koniu, harcował równie syty i wypasiony denikinowiec w szynelu z oficerskimi naramiennikami. Najpierw ostrym głosem rozkazał żołnierzom, by szukali „bolszewika" i członków jego rodziny. Potem, wściekły, że przyjechał za późno, kazał szukać broni nie tylko w sianie na strychu, ale i w pie-

rzynach. Żołnierze powywracali więc wszystko do góry nogami zarówno w chacie, jak i w zabudowaniach gospodarskich, ale poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Wkrótce więc oficer nakazał odwrót i denikiniowcy, z przytroczonymi do siodeł trofeami w postaci zabitych kur, odjechali zostawiając za sobą zniszczenie i pustkę.

W zagrodzie wszystko było białe od pierza. Wszędzie leżały skorupy rozbitych naczyń. W chacie i na podwórzu nie zostało ani jednego żywego stworzenia. Nawet Murka gdzieś znikła bez śladu...

Dom przy ulicy Małej Sadowej *

Siwy jesienny świt przeradzał się w biały dzień, kiedy Nastusia, przemaszerowawszy przez całą, jeszcze uśpioną Połtawę, znalazła się na znajomej cichej uliczce i zatrzymała przed jednym z budynków. Na

* W domu tym, w którym obecnie mieści się Muzeum Włodzimierza Korolenki, pisarz mieszkał od roku 1900 aż do śmierci. Korolenkę łączyły z Polską zarówno więzy krwi, jak i głębokiej sympatii. Matka jego była Polką i pierwszą książką, którą przyszły pisarz przeczytał samodzielnie, była książka polska — powieść Jana Kantego Gregorowicza „Tomek Sandomierzak".

Jako student, za swoje rewolucyjne sympatie i antycarskie wystąpienia, Korolenko został aresztowany i dziewięć lat spędził w carskich więzieniach i na zesłaniu.

Kiedy wybuchła Wielka Rewolucja Październikowa, Korolenko miał 64 lata i cieszył się ogromnym autorytetem. W latach wojny domowej i interwencji niemieckiej występował czynnie przeciw kontrrewolucji i pomagał więzionym i prześladowanym. Umarł w 1921 roku.

frontowych drzwiach błyszczała miedziana tabliczka z napisem: „Włodzimierz Gałaktionowicz Korolenko".

Nastusia, czując, że jej serce przenika chłód strachu, odczytała kilkakrotnie ten napis na miedzianej tabliczce. Nie miała odwagi podnieść ręki i zapukać do drzwi. Czy wpuszczą ją do mieszkania Korolenki? Co będzie, jeżeli służąca (a frontowe drzwi w pańskich domach przecież zawsze otwierają służące), zobaczywszy biedną dziewczynę ubraną po wiejsku, nie zechce z nią nawet rozmawiać?

Rozejrzawszy się zauważyła obok domu furtkę. Podeszła, nacisnęła klamkę i nagle znalazła się na małym zacisznym podwóreczku. Z prawej strony widniała ukryta wśród krzewów weranda domu Korolenki, w głębi widać było oficynkę, a dalej — ogród. Zza domku dochodziły wyraźne i miarowe uderzenia topora.

Nastusia zamknęła za sobą furtkę i poszła ścieżką koło klombu, na którym rosły wyblakłe astry.

Minęła krzaki bzu i zobaczyła szopę. Obok stał starszy mężczyzna niewysokiego wzrostu, z gęstą siwą brodą; usiłował uporać się z sękatą kłodą, w której uwięzła siekiera. Spod szopy na spotkanie nieproszonego gościa ruszył powoli, jakby od niechcenia, czarny pies z długą sierścią i obwisłymi uszami. Nastusia zatrzymała się.

— Nie gryzie! Nie bój się! — zawołał drwal. — Karko, wróć!

Karko posłusznie odwrócił się i leniwie poszedł z powrotem. A jego pan podniósł siekierę razem z kłodą i z całej siły walnął obuchem w pieniek, na którym rąbał drwa. Kłoda z trzaskiem rozpadła się i jedno niewielkie polano potoczyło się do nóg Nastusi. Podniosła je i podeszła do drwala, który właśnie prostował się zadowolony, że wreszcie dał sobie radę z niepokorną kłodą. Na jego twarzy widniał jeszcze wyraz zadowolenia, ale błyszczące, głęboko osadzone oczy patrzyły na dziewczynę z onieśmielającą uwagą.

I nagle Nastusia uświadomiła sobie, że dobrze zna te oczy i ich spojrzenie. Tak, przecież to te same oczy, które patrzyły na nią w ów daleki letni dzień, kiedy smutna i zgłodniała biegła do szpitala, żeby odwiedzić chorą matkę.

— Dziękuję, dziękuję ci — odezwał się pisarz biorąc z rąk onieśmielonej Nastusi sosnowe polano. — Musimy się zapoznać. Jestem Korolenko. A ty jak się nazywasz?

Nastusia poruszyła się, nawet otworzyła usta, ale... nie mogła z siebie wydobyć ani słowa. Zawsze śmiała w stosunkach z ludźmi, stała teraz ze spuszczonymi oczami i milczała jak niemowa. Po chwili jednak, czując wciąż na sobie baczne spojrzenie Korolenki, powiedziała z trudem:

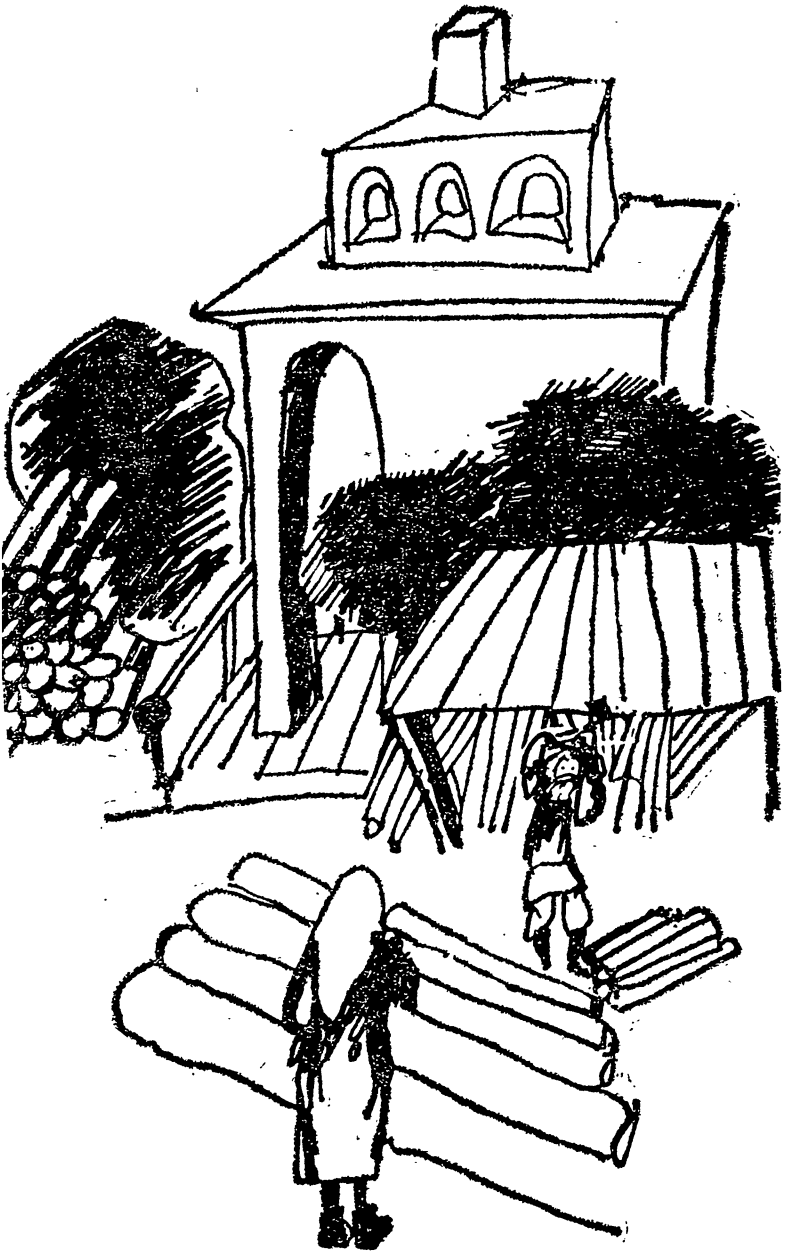

— Nazywam się Nastusia. Przyszłam tu z Pietrowki.

— Z Pietrowki? — zapytał Korolenko, zdumionym spojrzeniem ogarniając całą postać Nastusi, od jej małych bucików po wielką chustkę na głowie. — Z tak daleka przyszłaś pieszo? Sama?

— Tak — odpowiedziała już śmielej. — Przez Jakowce.

— Jak znalazłaś mój adres?

— Wiedziałam, gdzie pan mieszka! Ja w Połtawie znam wszystkich! Sama przecież jestem z Połtawy!

— Ach, tak! Już rozumiem! No, dobrze, Nastusiu. Jak poukładamy drwa, które narąbałem, to pójdziemy do domu. Wtedy opowiesz mi wszystko.

...I oto Nastusia siedzi w pokoju Korolenki. Ściany są tu białe. Stoi biurko i kanapa. Nie ma ani dywanów, ani portier...

Korolenko posadził gościa na krześle, a sam siadł obok z głową wspartą na ręce. I tak jakoś się stało, że Nastusia opowiedziała mu o wszystkim: i o śmierci matki, i o wuju Józefie, i o Oksanie.

— A więc mówisz, że widziano Oksanę? W więzieniu? — zapytał raz jeszcze Korolenko. Zanotował sobie coś na karteczce i siedział zamyślony, stukając ołówkiem w blat biurka. Nagle drzwi gabinetu odemknęły się.

— Czy mogę wejść, Włodziu? — zapytał cichy kobiecy głos.

Korolenko skinął głową i do pokoju weszła wysoka siwa niewiasta w ciemnej sukni.

— Duniu, przyszła tu do mnie dziewczynka z Pietrowki, Nastusia — zwrócił się do wchodzącej Korolenko. — Zostanie teraz u nas, rozumiesz...

— Dobrze, dobrze... — I jej surowa i nieco jakby smutna twarz zwrócona do Nastusi na chwilę rozbłysła uśmiechem. — Włodziu, czas na śniadanie — dodała. — Wszystko gotowe.

— Dziękuję, zaraz przyjdę. Nastusiu, to Jewdokija Siemionowna, moja żona. Zabierze cię teraz do swego kobiecego królestwa. A ja dziś jeszcze spróbuję dowiedzieć się czegoś o Oksanie.

Słowa te były wypowiedziane na pozór zwykłym tonem, ale tail się w nich skrywany niepokój i Nastusia zrozumiała, że Korolenko podziela jej lęk o losy Oksany. Spojrzawszy nań z wdzięcznością, a zarazem z lekkim poczuciem winy, dziewczynka posłusznie wyszła z pokoju za Jewdokiją Siemionowną.

Rodzina Korolenki przyjęła Nastusię serdecznie. Wykąpano ją, przebrano i nakarmiono. Potem szczuplutka i prosta jak struna córka pisarza zaprowadziła ją do maleńkiego pokoju, gdzie stało czysto zasłane

łóżko, mały stoliczek i szafa z książkami.

— Rozgość się tu, Nastusiu — powiedziała przyjaźnie. — Będziesz tu mieszkała, dopóki ojciec nie dowie się czegoś o Oksanie.

Córka Korolenki, Zofia, przypominała Nastusi Oksanę — miała ręce tak samo białe i delikatne oraz podobnie spokojne i stanowcze spojrzenie. Ale Zofia była chyba dużo starsza od Oksany...

Na myśl o Oksanie Nastusia westchnęła, ale zaraz zapomniała o wszystkim podziwiając stojącą koło drzwi szafę pełną książek.

— Jakie piękne książki! — zawołała.

— Umiesz czytać?

— Umiem.

— Chodziłaś do szkoły?

— Nie. Sama się nauczyłam.

Zofia wyjęła z szafy kilka książek w kolorowych okładkach i położyła na stole.

— Obejrzyj i przeczytaj, jeżeli masz ochotę.

Nastusia pochyliła się nad książkami, ale zaraz zerwała się z krzesła. W przedpokoju rozległ się dzwonek. Może to wraca Korolenko? Wiedziała, że zaraz po śniadaniu pisarz poszedł do wydziału śledczego armii Denikina.

— Nie, to nie ojciec — odezwała się Zofia, bez słów domyśliwszy się, co niepokoi jej gościa.

Jednakże obie wybiegły do przedpokoju. Zofia otworzyła drzwi. Na progu stał obcy mężczyzna z listem do Korolenki. Potem przyszedł jakiś malarz, przyjaciel pisarza, a nieco później — zapłakana kobieta z małym dzieckiem na ręku. Zofia zaprowadziła kobietę do siebie, długo uspokajała, a kiedy tamta wychodziła, wsunęła jej do rąk jakieś zawiniątko.

Wreszcie zjawił się sam Korolenko. Zmęczony i czymś zatroskany, szybko przeszedł do swego baginetu i Nastusia nie ośmieliła się zapytać go o Oksanę. Usłyszała jednak słowa, które rzucił żonie:

— To są straszni ludzie, Duniu...

Serce w niej zamarło. A więc wszystko stracone! Nie udało się Korolence i oni nie zwolnią Oksany...

Te niewesołe myśli przerwały słowa Zofii:

— Chodź na obiad, Nastusiu.

Zofia wprowadziła dziewczynkę do jadalni. Za wielkim stołem zebrała się już cała rodzina. Nastusia przysiadła na brzeżku krzesła, zmieszana i skrępowana, bo przecież po raz pierwszy znalazła się jako gość za tak ładnie nakrytym stołem, wśród obcych ludzi. Przed nią stał już talerz pełen gorącej i pachnącej zupy, ale dziewczyna nie myślała o jedzeniu — martwiła się o Oksanę. Zachęcona przez panią domu zjadła kilka łyżek, ale drugiego dania już

nie tknęła i nie mogła się doczekać końca obiadu. Wstała, gdy tylko inni podnieśli się zza stołu. I wtedy poczuła na ramieniu rękę Korolenki.

— Cóżeś taka smutna? Nie martw się! Uratujemy twoją Oksanę, zobaczysz!

Dziewczynka podniosła oczy, które nagle rozbłysły nadzieją.

— A... co oni powiedzieli?

— Na razie jeszcze nic. Obiecali sprawę wyjaśnić. Jutro pójdę tam znowu. A ty czuj się tutaj jak u siebie w domu. Idź do ogrodu. Znajdziesz tam jeszcze trochę jabłek i orzechów. Łasuj na zdrowie.

Wieczorem Nastusię znowu zawołano do jadalni, gdzie wszyscy zebrali się na kolację. Teraz dziewczynka nie czuła się już taka zmieszana i śmielej rozejrzała się po pokoju. Stał tu duży okrągły stół, kilka miękkich krzeseł i kanapa. Ozdobą był wiszący na ścianie wielki portret Korolenki, na którym malarz znakomicie uchwycił podobieństwo do oryginału.

Przy stole oprócz żony pisarza i Zofii siedziała też druga córka Korolenki ze swoim mężem oraz siostra pani domu i jeszcze kilka osób spośród dalszej rodziny i przyjaciół. Wszyscy zachowywali się bardzo zwyczajnie i prowadzili ożywioną rozmowę, często tak ciekawą, że Nastusia, zasłuchana, zupełnie zapominała o jedzeniu. Sam Korolenko albo wtrącał jakieś słówko, albo

też słuchał pilnie, co mówią inni. Jego osoba najbardziej przyciągała uwagę Nastusi — wpatrywała się w jego ożywioną twarz i zdawała się wchłaniać każde jego słowo. Czuła się za tym stołem tak swojsko i dobrze (choć na pozór nikt na nią nie zwracał uwagi), że na chwilę zapomniała nawet o swojej samotności i sieroctwie.

Następnego dnia Korolenko znowu wyszedł z domu. Tym razem wrócił prędko i gestem zawezwał Nastusię do swego gabinetu.

Dziewczynka weszła nieśmiało i zatrzymała się na progu. Korolenko delikatnie objął ją ramieniem i posadził na kanapie.

— Tylko się nie denerwuj, Nastusiu — zaczął ostrożnie. — Widocznie zaszła jakaś pomyłka. Oksany nie ma w połtawskim więzieniu.

— Nie ma?

— Tak. Powiedziano mi, że Oksana nie figuruje w spisie więźniów.

— Jak to? Przecież ktoś widział ją w oknie więzienia!

— To pewnie nie była ona.

Nastusia trwożnie zamrugała powiekami i spuściła oczy, a Korolenko mówił dalej:

— Nie trzeba się martwić! To przecież dobrze, że Oksany nie ma na liście uwięzionych. Jeżeli nie siedzi w więzieniu, to znaczy, że jest na wolności. Rozumiesz? Przyjdzie czas i zobaczysz ją znowu.

Jednakże Nastusia coraz niżej pochylała głowę. Nie, na pewno już nigdy nie zobaczy Oksany! Utraciła ją na zawsze — tak jak mamę, tak jak wuja Józefa!

Korolenko pogładził dziewczynkę po głowie.

— Nie martw się! Mówię ci przecież, że wszystko będzie dobrze. Oksana odnajdzie się, zobaczysz. A ty zostań u nas. Będziesz mi córką. Zgoda?

Nastusia spojrzała na Korolenkę, pewna, że ten żartuje.

— Dlaczego milczysz? Chcesz u nas zostać?

Głos brzmiał ciepło i serdecznie. Nie, Korolenko nie żartował. On naprawdę chciał zatrzymać u siebie i otoczyć opieką tę zupełnie obcą, bezdomną istotę...

Nieśmiała wdzięczność napełniła serce Nastusi, zaróżowiła policzki. Z oczu, nieproszone, ale niepowstrzymane, popłynęły gorące łzy.

— Coś ty... Dlaczego? Tak nie można! — spłoszył się Korolenko.

Odwróciwszy się dziewczynka pospiesznie wycierała obydwiema rękami mokre od łez policzki.

— Ja... ja... to nic... ja tylko tak...

— No, to świetnie! To bardzo dobrze — szybko zaczął mówić Korolenko. — Widzę, że zuch z ciebie!

Nastusia opanowała się rzeczywiście. Łzy

jej obeschły i już przez cały dzień serdeczne słowa Korolenki grzały ją swoim uspokajającym ciepłem. Jednakże przed oczyma wciąż stawała postać Oksany. Skąd te wieści o niej? Co się z nią dzieje?

Im więcej myślała, tym większy ogarniał ją lęk i niepokój.

Nazajutrz, obudziwszy się wczesnym rankiem, już wiedziała, że nie zostanie w domu Korolenki. Pobiegnie na Babiczewski zaułek, na przedmieście Kobyszczany, na Kolonię, do domu Mowczanów, a jeżeli nigdzie nikt nic nie będzie wiedział, wróci na wieś do ciotki Gali.

Wzeszło słońce, ale w domu na Małej Sadowej wciąż jeszcze panowała niezakłócona senna cisza. Nastusia szybko włożyła swoją starą sukienkę i buciki, wszystko, co jej tu ofiarowano, ułożyła starannie na krześle i wziąwszy swój węzełek cichutko wyszła na ganek. Kiedy znalazła się na ścieżce, nie poszła jednak do furtki, ale... schowała się za krzakiem bzu.

Po ogródku, w towarzystwie psa Karka, przechadzał się zamyślony Korolenko. W tym domu, jak widać, on zawsze wstawał wcześniej od innych. Może lubił samotność cichych poranków, kiedy nikt mu nie przeszkadzał myśleć o sprawach własnych i ważnych?

Dziewczynka stała za krzakiem bzu i bała się głośniej odetchnąć! Wiedziała, że po-

winna podejść, pożegnać się, podziękować za wszystko. Ale co będzie, jeżeli Korolenko powie: „Coś ty wymyśliła? Wracaj zaraz!" Czy będzie wtedy miała tyle siły, żeby postawić na swoim?

Serce Nastusi ścisnęło się boleśnie. Tymczasem pisarz, nie domyślając się nawet jej obecności, zatrzymał się przed gankiem i w zamyśleniu patrzał przed siebie. Potem pochylił się, pogładził kudłaty łeb psa i ruszył w głąb ogrodu. Stary wierny pies powoli poszedł za swoim panem.

I nagle Nastusia zerwała się z miejsca, wyskoczyła zza krzaka i jednym susem znalazła się obok Korolenki.

— A, to ty, Nastusiu! Czemu wstałaś tak wcześnie? — powiedział zdziwiony i nagle zauważył, że trzyma w ręce węzełek, z którym tu przyszła. — Dokąd się wybierasz?

— Ja... ja muszę iść — Nastusia z trudem wydobywała z siebie słowa. — Muszę... dowiedzieć się czegoś o Oksanie. Dziękuję... za wszystko.

Czuła się winna wobec Korolenki i nie mogła patrzeć mu w oczy. Ale ten spojrzał na nią ze smutnym współczuciem i westchnął ciężko.

— No cóż — powiedział wreszcie. — Jeżeli musisz, to widać tak trzeba. Idź, Nastusiu. I niech ci szczęście sprzyja!

Nastusia podniosła głowę, chciała coś powiedzieć, ale nie mogła znaleźć odpowied-

nich słów. Odwróciła się więc gwałtownie i nie oglądając się za siebie pobiegła do furtki.

Już na ulicy, gdy skręcała za róg, zatrzymała się na chwilę i ostatni raz spojrzała na dom, gdzie znalazła tyle ciepłego i szczerego współczucia. Teraz wracała tam, gdzie był jej świat, świat surowy, pełen niepokoju i walki. Ale tam, w tym świecie, znajdowali się ludzie, którzy byli jej bliscy i drodzy. I do nich właśnie rwała się całym sercem.

Obóz w lesie

— Stój! Kto idzie? Bo strzelam!

Z leśnej gęstwiny wyszło dwóch już niemłodych mężczyzn, zarośniętych i brodatych. Nastusia zatrzymała się, przelękniona. Wiedziała, że w tych wąwozach, ciągnących się za wsią Pietrowką, obozują czerwoni i że tu właśnie znajdzie Pawła Trocenkę, do którego niosła ważny list. Ale wygląd tych dwóch brodaczy przypominał raczej bandytów niż żołnierzy czy partyzantów.

...Jeszcze rankiem tego samego dnia zrozpaczona Nastusia błąkała się samotnie po Połtawie, utraciwszy wszelką nadzieję, że zdoła dowiedzieć się czegoś o Oksanie. W zaułku Babiczewskim, dokąd przede

wszystkim skierowała swoje kroki, jakaś kobieta na jej pytanie-hasło (podane kiedyś przez Oksanę) odmruknęła gniewnie, że „tu nie ma żadnego wujka Wani". Zawiedziona, ruszyła w stronę Kolonii, aby dotrzeć do domu Baśki. Nagle na jednym z cichych zaułków poznała podwórze ogrodzone drewnianym parkanem, to samo podwórze, dokąd jeszcze za rządów hetmana z Wasylem i Oksaną przywozili furmanką broń dla czerwonych.

Kiedy zastukała, furtkę odemknął ten sam staruszek w wyliniałej baraniej czapce, który wówczas otwierał im wrota. W milczeniu wysłuchał jej słów i zaprowadził na sąsiednią ulicę, do niewielkiego pobielanego domku z czerwonymi okiennicami. I tam, w zadymionym pokoju, Nastusia spotkała nareszcie ludzi, których szukała.

Byli to wprawdzie trzej nieznajomi mężczyźni, ale jak się okazało, wiedzieli oni o istnieniu Nastusi i znali ją dobrze z widzenia. O losach Oksany nie słyszeli. Jedno było pewne: wieść o jej przebywaniu w połtawskim więzieniu okazała się fałszywa — Oksany nie było w Połtawie. Trzej nieznajomi zapewniali Nastusię, że wkrótce wyjaśni się wszystko. Trzeba mieć cierpliwość. A na razie Nastusia przyszła do nich w samą porę, bo właśnie zastanawiali się, kogo by posłać natychmiast do Pawła Trocenki. A przecież ze świecą nie znaleźliby

lepszego zwiadowcy niż właśnie ona, Nastusia...

...No i Nastusia dotarła wreszcie do pietrowskich wąwozów. Ale ci dwaj brodacze zatrzymali ją groźnym okrzykiem: „Stój! Bo strzelam!"

— Coś ty za jedna? Po co się tu kręcisz?

Serce Nastusi biło jak dzwon na trwogę, ale opanowała strach i powiedziała śmiało:

— Idę do Pawła kolejarza! Do Trocenki.

— Odprowadź ją, Dmytro — odezwał się starszy z brodaczy. — Niech Paweł sam zdecyduje, co i jak.

— No to chodź — skinął na Nastusię ten młodszy i szerokim krokiem ruszył w dół zbocza.

Zeszli na sam dół głębokiego jaru, gdzie płynął wąski strumyk. Wąwóz stawał się coraz szerszy i nagle Nastusia ujrzała przed sobą niewielką polankę porośniętą turzycą, wśród której gdzieś znikł wąski strumyczek. Teraz szli ledwie dostrzegalną, zarośniętą ścieżynką. Wkrótce ścieżka skręciła w bok i Nastusia usłyszała rżenie i ujrzała pomiędzy drzewami spętane konie, a nieco dalej — ludzi siedzących dokoła ogniska.

Podeszła bliżej i natychmiast poznała Pawła kolejarza. Siedział, oświetlony płomieniem, na grubym pniu powalonego drzewa. Nastusia rzuciła się ku niemu, zapominając o swoim przewodniku.

— A ty dokąd? Ja ci tu... — huknął tam-

ten. Zamilkł jednak zaraz, gdy ujrzał, że ta obca, zatrzymana przez niego dziewczyna rzuca się na szyję jego dowódcy. A Nastusia, uściskawszy Pawła, szybko zaczęła opowiadać, że idzie z Połtawy, skąd przynosi mu ważny list od tamtejszych towarzyszy.

Paweł kolejarz spokojnie i bez zdziwienia, jakby już dawno wiedział, że Nastusia zaraz się tu zjawi, posadził ją obok siebie na powalonym pniu drzewa, pozwolił odsapnąć nieco i dopiero wtedy powtórzył:

— List? No to dawaj zaraz!

Wyciągnęła zza cholewki bucika zawinięty w szmatkę arkusz papieru. Trocenko wygładził go, wyrównał i przysunąwszy się do ognia szybko przebiegł oczami. Potem przeczytał raz jeszcze, już uważnie i bez pośpiechu, złożył starannie i schował do kieszeni kolejarskiej bluzy.

— Prokopie! — zawołał.

Na ten okrzyk podniósł się jeden z chłopców siedzących przy ognisku.

— Poszukaj zaraz Pogrybniaka. Ważne nowiny. A tobie, Nastusiu, dziękuję, żeś ten list przyniosła. Zuch z ciebie! Nie bałaś się iść przez las?

— Trochę — przyznała Nastusia. — Zlękłam się bardzo, kiedy ten brodacz krzyknął: „Stój, bo strzelę!"

— Naprawdę? Tak właśnie krzyknął? — uśmiechnął się Paweł. — No cóż! Stał na

straży, spełniał tylko swój obowiązek! Ale tyś pewnie zmęczona, co? Posiedź tu, ogrzej się przy ognisku, a jak kasza będzie gotowa...

Nie zdążył dokończyć zdania, gdyż właśnie podszedł jakiś człowiek w szarej wiejskiej świtce i zawołał:

— Towarzyszu Trocenko!

— A, to ty? No, co tam słychać w Pietrowce?

— Denikinowcy piją u popa. Aresztowanych zamknęli w szkole.

— Ilu ich jest?

— Pięciu.

— Ja pytam, ilu jest denikinowców?

— Osiemnastu. I wszyscy mają konie. Jutro zabierają aresztowanych do Połtawy. A także chłopów z podwodami. Zarekwirowali coś ze sześćdziesiąt furmanek.

— Proponuję odbić aresztowanych — rozległ się z boku stanowczy głos. Do ogniska zbliżył się wysoki mężczyzna w starym żołnierskim szynelu. — Trzeba urządzić zasadzkę nad samą drogą, w tym miejscu, gdzie biegnie ona między dwoma urwiskami. Tam można będzie wziąć denikinowców gołymi rękami. Zamaskujemy w krzakach karabin maszynowy i wystrzelamy ich jak pisklęta!

Mężczyzna mówił z gorącym zapałem, ale Trocenko nie tracił swego obojętnego spokoju.

— Ile, powiadasz, podwód? — zapytał człowieka w chłopskiej świtce.

— Sześćdziesiąt.

— Słyszysz, co on mówi? — zwrócił się Trocenko do wysokiego mężczyzny w żołnierskim szynelu. — Jeżeli otworzymy ogień, to zabijemy tych wszystkich niewinnych ludzi, którzy będą prowadzić podwody. Nie zgadzam się na to.

— Więc jak? Denikinowcy mają zawieźć naszych towarzyszy do połtawskiego kontrwywiadu?

— Trudno.

— Czy mówisz to poważnie, Pawle?

— Poważnie. Mamy w tej chwili sprawę ważniejszą. Ta dziewczyna przyniosła mi list ze wskazówkami. Regularne oddziały Armii Czerwonej zbliżają się do Połtawy. Zbierz towarzyszy, musimy omówić niektóre posunięcia. A teraz chodźmy jeść kolację.

Na noc Nastusię ułożono obok ogniska na stosie suchych liści. Paweł troskliwie przykrył ją wielkim kożuchem.

— Będzie ci tu jak u Pana Boga za piecem — dogadywał podtykając pod nią poły kożucha. — A co? Może nie?

— Hm! — sennie odpowiedziała Nastusia układając się wygodnie pod owczym futrem.

O świcie rozbudził ją głos Trocenki.

— Wstawaj, Nastusiu! Już czas w drogę!

Dziewczynka z wysiłkiem otworzyła oczy. Miała wielką ochotę poleżeć jeszcze pod ciepłym kożuchem, ale Paweł czekał, trzeba więc było wstać i szykować się do drogi. Owinęła się chustką i właśnie wciągała buciki, kiedy Trocenko zapytał znowu:

— No, jak tam? Jużeś gotowa?

Podał jej pajdę chleba z kawałkiem słoniny zachęcając serdecznie:

— Masz, pokrzep się trochę.

Nastusia wzięła chleb i ugryzła kawałek. Nie była wcale głodna, ale nie chciała odmawiać Trocence.

A on już trzymał w ręku przygotowany list.

— Oddasz go temu towarzyszowi, który przysłał cię tutaj. Nikomu innemu. Zrozumiałaś?

Zawinęła list w szmatkę i jak uprzednio wsunęła za cholewkę.

— Pamiętaj, bądź ostrożna. Jeżeli zobaczysz oddział denikinowców, to schowaj się w krzakach i czekaj. Warty obchodź z daleka.

— Będę uważała.

— Oddasz ten list i pójdziesz do Mowczanów. Zostań tam, dopóki nie otrzymasz ode mnie wiadomości. No, komu w drogę, temu czas.

Paweł Trocenko wyprowadził ją z obozu i powiódł dolinką aż do ścieżynki wzdłuż strumyka. Dalej poszła sama.

Słońce już wzeszło, ale tutaj, na dnie wąwozu, było zimno i wilgotno. Buciki Nastusi wkrótce przemokły, mokry też był dół jej spódniczki. Żeby się ogrzać, wciąż przyspieszała kroku. Im dalej, tym gęstszy był las i coraz bardziej strome stawały się zbocza urwiska. Zadyszana, znalazła się wreszcie na samym szczycie i poszła naprzeciw smugom światła, które przedzierały się pomiędzy pniami drzew.

Las, na pożegnanie czepiając się gałązkami drzew jej chustki i spódniczki, wypuścił ją wreszcie ze swoich chwytliwych objęć. Wyszła na skraj gęstwiny. U jej stóp rozpościerało się nagie, jesienne pole, za którym ciągnęła się droga wiodąca aż do Połtawy.

Nad polem panowała głęboka cisza. Nie widać było ruchu, nie słychać żadnego dźwięku. Tylko gdzieniegdzie z bruzdy na bruzdę, przelatywała ciężka i syta wrona.

Potykając się o grudy ziemi Nastusia przeszła całe pole i znalazła się na drodze. Była zmęczona, czuła zawrót głowy i nogi uginały się pod nią, a górzysta droga ciągnęła się niczym rozwijany czyjąś ręką zwój grubego, nie bielonego płótna. Miała wrażenie, że ta droga nie skończy się nigdy. Żeby zapomnieć choć trochę o zmęczeniu, zaczęła liczyć napotykane słupy telegraficzne. Jeden, drugi, trzeci... Jednakże odległość od słupa do słupa zaczęła jej się

wydawać coraz dłuższa i coraz trudniej było odrywać od ziemi ciężkie, nieposłuszne nogi.

Jak we śnie dowlokła się do pierwszych miejskich zabudowań. Nawet nie czuła radości, że zbliża się wreszcie koniec tej uciążliwej wędrówki. Na przejeździe ze spokojną obojętnością minęła denikinowca-wartownika, który równie obojętnie spojrzał mimochodem na jej szczupłą, skuloną postać.

W centrum miasta, gdzie na jezdniach więcej było ruchu i więcej przechodniów na chodnikach, Nastusia ocknęła się, zebrała resztki sił i odnalazła potrzebną ulicę i niewielki domek o czerwonych okiennicach. Czekano już tam na nią. Oddała list, odpowiedziała na kilka pytań i wymówiwszy się od poczęstunku — o jedzeniu nie mogła nawet myśleć — wkrótce znowu znalazła się na ulicy.

Teraz, kiedy zadanie zostało wykonane, ogarnęła ją taka niemoc, że zapragnęła usiąść wprost na chodniku, spuścić nogi do zarośniętego chwastami ulicznego rowu i odpocząć trochę. Ale trzeba było, chociaż z wielkim trudem, przezwyciężyć to niemądre pragnienie i iść dalej. Powoli szła przez plac Sienny. Głowa jej płonęła i chwiała się na cienkiej szyi, w ustach było sucho. Nie wiedziała już wcale, dokąd i po co idzie. Gnała ją naprzód jedynie

jakaś niejasna myśl o Baśce. W gorączkowym półśnie dotarła do domu Mowczanów, weszła do izby i usiadła na ławce. Więcej nie pamiętała już nic.

Ze szczęścia się nie umiera

Co to? Jakiś jeździec w zielonym kubraku i czerwonej czapce skacze po ścianie. Zupełnie taki sam jak ten, który wisiał nad łóżkiem u ciotki Maryny. Nastusia marszczy czoło i z wysiłkiem wpatruje się w jeźdźca. Ależ tak, to ten sam, na tym samym ciotczynym dywaniku. A oto i ciotka Maryna pochyla się nad nią. Twarz ma jak zawsze żółtą, policzki gniewnie obwisłe i pomarszczone. Ale oczy patrzą łagodniej, z wyrazem współczucia.

— Ocknęłaś się? Dzięki Ci, Boże! — słyszy Nastusia głos ciotki, nie jest jednak w stanie dziwić się dłużej i znowu zamyka oczy, a białe skrzydła poduszki kojąco i przyjemnie unoszą ją znowu w miękką krainę zapomnienia.

Kiedy wreszcie całkowicie odzyskała świadomość, okazało się, że naprawdę leży w domu ciotki Maryny.

Ciotka, nie chcąc grzechem obarczać sumienia i bojąc się, że ludzie wezmą ją na języki i potępią za brak serca, jeżeli jej rodzona siostrzenica umrze, nie daj Boże,

w obcej chacie, wśród obcych ludzi, zabrała chorą do siebie tego samego dnia, kiedy ta, powalona tyfusem, straciła przytomność na ławce w izbie Mowczanów.

Gdy nieprzytomną i na wpół żywą Nastusię wniesiono do domu ciotki, ta aż ręce załamała i w jej oschłym sercu drgnęło jakieś cieplejsze uczucie. Z oddaniem i troską pielęgnowała chorą, którą położyła nawet na swoim szerokim małżeńskim łożu. Wuj Kuźma, malutki i szczuplutki, sypiał teraz na polowym rozkładanym łóżku, a ciotka, stękając, układała się na noc na zbyt wąskim dla jej tęgiej osoby ciepłym przypiecku. W nocy ciotka wstawała, poiła siostrzenicę wywarem z ziół leczniczych, zmieniała jej kompresy i Nastusia powoli zaczęła wracać do zdrowia.

Ale dziwna rzecz: w miarę jak siostrzenicy robiło się lepiej, stygły uczucia ciotki. Skarżyła się, że przez Nastusię nie ma chwili spokoju, że na twardym przypiecku poobijała sobie kości i jak tylko chora zaczęła wstawać, od razu wyforowała ją z łóżka. Nastusi kręciło się w głowie, kiedy z wysiłkiem wdrapywała się na przypiecek, ale pocieszała się myślą, że nie usłyszy więcej ciotczynego gderania. Cóż, kiedy ciotka uspokoiła się nie na długo. Ze wszystkiego była teraz niezadowolona: to robiła chorej wyrzuty, że kaprysi, nie chce jeść tego, co jej dają, i zapewne marzy

o frykasach; to znów miała pretensję, że dziewczyna je za dużo, że trudno jej nastarczyć jedzenia.

— Nie obieraj tak grubo! — krzyczała ciotka, kiedy Nastusia obierała kartofle. — Przy takich pomocnicach nie starczy nawet największych zapasów!

Nastusia z ukosa spoglądała na ciotkę. Dlaczego obcy ludzie bywają lepsi niż krewni? Przecież Korolenko proponował, żeby została u niego. „Będziesz mi córką" — powiedział. A ciocia Gala? A babka Ustimowna, u której mieszkała razem z Oksaną? Albo choćby ten staruszek inwalida, który we wsi Jakimowka dzielił się z nią i Oksaną ostatnim kawałkiem chleba. Tymczasem ciotka, rodzona ciotka żałuje jej każdej okruszynki! I jeżeli nawet chce zrobić coś dobrego, to zaraz to „dobro" zamienia się w „zło"...

Ale niech tam! Trzeba tylko wyzdrowieć, wyzdrowieć jak najprędzej! Przecież Połtawa jest już w rękach czerwonych! Wówczas gdy ona leżała tutaj nieprzytomna, Armia Czerwona dała wojskom Denikina takiego łupnia, że się aż kurzyło za nimi...

Baśka, która odwiedzała ją często, mówiła, że zaraz nazajutrz po wejściu czerwonych do miasta przyszedł do nich na Kolonię Paweł Trocenko i pytał o Nastusię. Powiedział, że niedługo wróci do miasta razem z ciocią Galą i zamieszkają, jak daw-

niej, przy ulicy Kurakińskiej. A może już wrócili? Może coś wiedzą o Oksanie? Och, jak bardzo chciała tam pobiec! „Ale przecież — perswadowała sama sobie — gdyby Paweł kolejarz był w Połtawie i coś wiedział o Oksanie, to na pewno albo sam by tu przyszedł, albo dał znać przez Baśkę". Ta myśl powstrzymywała Nastusię od przedwczesnego wyjścia na ulicę i nakazywała uzbroić się w cierpliwość.

A jednak pewnego poranka, kiedy ciotka Maryna poszła na bazar, a wuj Kuźma swoim zwyczajem natychmiast gdzieś się zawieruszył, Nastusia nie mogła się pohamować i po raz pierwszy wyszła z domu.

Kiedy odetchnęła zimnym powietrzem, od razu zaniosła się ostrym kaszlem. Musiała czekać długą chwilę, aż atak minie i dopiero wtedy zebrała siły i powoli poszła dalej.

Z zaciekawieniem rozglądała się dokoła. Och, jakżeż długo chorowała! Przecież już zima na dworze! Budynki, drzewa, stary drewniany chodnik — wszystko tak dobrze znajome i bliskie — wydawało się teraz jakieś niezwykłe, jakby widziane po raz pierwszy. Nawet to, że stąpa po ulicy o własnych siłach, dziwiło ją, ale też cieszyło zarazem.

Przeszła jedną ulicę, potem drugą, skręciła najpierw w prawo, następnie w lewo i oto już ulica Kurakińska i to podwórko,

gdzie mieszkał Paweł Trocenko. Przybiegała tu przecież nieraz, kiedy służyła u pani generałowej. Podeszła do znajomych drzwi. Zamknięte. I okiennice założone antabami. A więc jeszcze nie wrócili... Westchnęła rozczarowana, wyszła na ulicę i na chwilę przystanęła przy tej samej furtce, za którą kiedyś schowała się przed pędzącymi na koniach hajdamakami.

Nad Połtawą, w siwym mroźnym błękicie, wirowały powoli drobne płatki śniegu. Niskie, zimowe słońce wyjrzało już zza dachów i w jego czerwonym blasku śnieżynki zdawały się płonąć niczym złociste iskierki. Było cicho i bezwietrznie. Czerwona chorągiew nad dawną siedzibą gubernatora wisiała niemal zupełnie nieruchomo.

Ale spokoju panującego w przyrodzie nie czuło się wcale na ulicach miasta. Wokół płynęło pełne napięcia surowe wojenne życie. Po kamiennych płytach chodnika przechodziły ze stukotem uzbrojone patrole. Po jezdni pędzili galopem wojskowi na koniach, a od gmachu Korpusu Kadetów dobiegały słowa pieśni:

Mury więzienia rozsadzim,
Przebudujemy ten świat!
Siły wspólnymi wprowadzim
Wolną Republikę Rad!

Nastusia słuchała pieśni i nadziwić się nie mogła temu, jak teraz wygląda ulica.

Parkany były znowu gęsto pooklejane odezwami, zupełnie jak wówczas, kiedy strącono z tronu cara Mikołaja II. Ciekawe, co tam teraz piszą. Nastusia podeszła bliżej.

„Drodzy towarzysze! — przeczytała odezwę Połtawskiego Komitetu napisaną wielkimi drukowanymi literami. — Wyszliśmy znowu z dusznego podziemia i oddychamy świeżym powietrzem naszej rozległej i wielostronnej działalności. Mamy przed sobą wiele zadań do spełnienia. Pierwsze z nich jednak i najważniejsze — to umocnienie tak długo oczekiwanej władzy Rad Robotniczo-Chłopskich!"

Nastusia westchnęła z przejęciem. A więc spełniło się to, o czym mówił wuj Józef, o czym marzył razem z Oksaną. Nie będzie już burżujów, cała władza przeszła w ręce Rad!

Ogarnięta radosnym podnieceniem, zapragnęła nagle podzielić się z Baśką tym, co teraz czuła i myślała. Baśka była zawsze jej najlepszą powiernicą. Baśka ją rozumie!

Niemal biegła na Kolonię i bez tchu wpadła do chaty Mowczanów. Ale Baśka nie pozwoliła jej dojść do słowa.

— Gdzieś ty była? — zatrajkotała ujrzawszy przyjaciółkę. — Wracaj zaraz do domu. Pytała o ciebie jakaś młoda kobieta. Mama zaprowadziła ją do ciotki Maryny.

— Kobieta?!

— Aha! W żołnierskim szynelu. Ale taka szczupła, szczupluteńka...

Przez chwilę Nastusia z niedowierzaniem spoglądała na przyjaciółkę. Wreszcie jak szalona wypadła z izby! To ona! Ona!

Ale kiedy już dobiegła do domu ciotki i znalazła się w sieni, poczuła dławiący lęk. A jeżeli się okaże, że to nie Oksana? A jeżeli to właśnie ktoś z wiadomością, że Oksana nie żyje?

Czując, że nogi uginają się pod nią, Nastusia z trudem odemknęła drzwi i zajrzała do pokoju.

Przy stole siedziały dwie osoby. Twarzą do kuchni, przyodziana w swoje szerokie spódnice, rozsiadła się ciotka Maryna, okrągła i pulchna, jak dobrze wyrośnięta drożdżowa baba. Naprzeciw niej — szczupła i wiotka jak łodyżka postać kobieca w żołnierskim płaszczu i miękkiej ciepłej chustce na głowie.

— O, jest! — zawołała ciotka Maryna.

Kobieta w szynelu odwróciła głowę i Nastusia ujrzała drogą, wymizerowaną, ale uśmiechniętą twarz. Ze wzruszenia pociemniało jej w oczach, ale już po chwili znalazła się w ciepłych i czułych objęciach Oksany.

Teraz, kiedy obejmowały ją wreszcie te kochane ręce, Nastusia nagle zdumiała się: jak to się działo, że tyle czasu potrafiła

żyć bez Oksany? Jakby w obawie, że znowu ktoś je rozłączy, tuliła się do niej ciągle i nie odstępowała ani na chwilę.

U ciotki Maryny nie siedziały długo. Nie było powodu, żeby zwlekać. Jeszcze przed powrotem Nastusi Oksana wszystko uzgodniła z ciotką. Powiedziała jej, że została mianowana kierowniczką domu dziecka. Dom znajduje się niedaleko, też przy ulicy Kolonijskiej, i ciotka pewnie dobrze zna ten niepozorny parterowy budynek.

Tam właśnie Nastusia zamieszka znowu razem z Oksaną.

Ciotka Maryna, nad podziw teraz łagodna i czuła, przygotowała Nastusi zawiniątko z odzieżą, a żegnając się westchnęła smutnie raz i drugi.

Ale Nastusia nawet tego nie zauważyła. Jak we śnie wzięła zawiniątko i wyszła razem z Oksaną, kurczowo trzymając ją za rękę i czując się znowu małą dziewczynką z sanitarnego wagonu kolejarzy połtawskich.

Wreszcie znalazły się w odrapanym i prawie pustym pokoiku, gdzie stało żelazne łóżko, kulawy stół i „koza", to jest mały żelazny piecyk z długą rurą. Oksana, nie zdejmując płaszcza, napaliła w piecyku, postawiła na nim blaszany czajnik, usiadła obok Nastusi na łóżku przykrytym szorstkim żołnierskim kocem i zaczęła jej opowiadać o swoich losach: o tym, jak wy-

wieziono ją wraz z innymi aresztowanymi do Karłówki, jak tam czerwoni marynarze uderzyli na hetmana i zwolnili więźniów. Wówczas to właśnie Oksana wstąpiła w szeregi Armii Czerwonej.

Nastusia niewiele słyszała z tej opowieści. Jeszcze słaba po przebytej chorobie, zdrzemnęła się rozgrzana żarem buchającym od rozpalonego do czerwoności piecyka. Od czasu do czasu, ocknąwszy się, mrugała nieposłusznymi powiekami i starała się siedzieć prosto, ale po' chwili znowu zamykała oczy i spuszczała nisko ciężką głowę. W końcu znalazła się pod kołdrą, a ostatnią jej myślą było: „Oksana wróciła! Oksana jest tutaj!"

Następnego dnia obudziła się z tym samym uczuciem radości i szczęścia. Oksana krzątała się już po pokoju — znowu rozpaliła piecyk i gotowała herbatę.

— No, jak się czujesz? — odezwała się wesoło.

— Dobrze! — zawołała Nastusia i chciała wyskoczyć z łóżka, ale Oksana nie pozwoliła.

— Poleż jeszcze trochę, niech się nasza „koza" rozgrzeje należycie, bo teraz bardzo zimno w pokoju.

— Nie jestem wielka pani, żeby się wylegiwać.. Sama mogę napalić w piecu!

— Ja też nie jestem wielką panią — ro-

ześmiała się Oksana — i też mogę napalić! A tyś jeszcze słabiutka...

Nastusia z wdzięcznością spojrzała na Oksanę — to jedno słowo „słabiutka" napełniło ją zapomnianym uczuciem rodzinnego ciepła. Już bez sprzeciwu wlazła znowu pod kołdrę, ale po godzinie wstała, umyła się, ubrała i przykucnąwszy przed piecykiem pilnie podkładała leżące obok suche drewka.

Kiedy herbata była gotowa, Nastusia nagle zauważyła, że Oksana postawiła na stole nie dwa, ale trzy blaszane kubki. Zerknęła na Oksanę, ale pomna jej dawnych zakazów nie zapytała o nic. Zresztą nie było potrzeby, bo Oksana, ostrożnie ważąc słowa, zaczęła sama:

— Pamiętasz, Nastusiu, jakeśmy w Jakimowce poszły na bratnią mogiłę rozstrzelanych? Myślałyśmy wówczas, że pochowano tam wszystkich, których drozdowcy poprowadzili na rozstrzelanie. Ale wcale tak nie było.

— Tak nie było — jak echo odruchowo powtórzyła Nastusia.

— Właśnie. Jeden z rozstrzelanych żył jeszcze i o świcie, kiedy odzyskał przytomność, wydostał się z dołu i jakoś dowlókł do sąsiedniej wsi. Chłopi odwieźli go do szpitala, gdzie wyzdrowiał i teraz służy w szeregach Armii Czerwonej.

Przed oczyma Nastusi stanęła zapomnia-

na już scena: izba w chacie starego chłopa, na ławie chora Oksana i dziewczynka z sąsiedztwa z dzbankiem w rękach...

I nagle myśl, w którą trudno było uwierzyć, zaświtała jej w głowie.

— Kto to był? — krzyknęła rozdzierająco i zerwała się z podłogi.

Ale Oksana nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł wysoki, barczysty dowódca Armii Czerwonej i głosem wuja Józefa powiedział:

— Jak się masz, Nastusiu? Poznajesz?

Niepotrzebnie bała się Oksana — ze szczęścia się nie umiera!

Nastusia, mimo doznanego wstrząsu, szybko przyszła do siebie i oto już siedzi na łóżku obok Oksany i trzymając w rękach gorący kubek z herbatą bez przerwy wpatruje się w siedzącego naprzeciw wuja Józefa, który usadowił się na jakiejś skrzynce koło stołu i popija herbatę!

— Och, gorące! — woła nagle Nastusia łyknąwszy odruchowo nieco wrzątku.

— No, to ostudź, głuptasku, i nie gap się tak na mnie! — śmieje się wuj Józef.

Potem wypytuje ją dokładnie o to, co się z nią działo przez ten cały czas, i słuchając jej opowieści swoim zwyczajem kręci się po pokoju, tam i z powrotem... tam i z powrotem...

— Myślałam, że nie zobaczę cię już ni-

gdy... — cicho kończy swoją opowieść Nastusia i głos jej drży.

— No, no — wesoło przerywa wuj Józef. — Nie trzeba tak myśleć. Widzisz przecież, że zobaczyliśmy się jednak. A teraz zostaniesz tu razem z Oksaną.

— A... ty, wujku? — pyta Nastusia i znowu zamiera w niej serce.

— Cóż, ja... Ja muszę walczyć. Dobrze, że udało mi się wpaść tu chociaż na chwilę. Ale teraz już czas na mnie. Wrócę, kiedy Czerwona Armia rozgromi do końca kontrrewolucyjnych generałów. I wtedy będziemy zawsze już we troje.

Mówiąc te słowa wuj Józef objął Oksanę, a ona przytuliła do siebie Nastusię i schowała twarz w jej kędzierzawych włosach.

Tak oto stali wszyscy troje w mocnym uścisku, rozumiejąc, że czas już się żegnać, a jednak wciąż odsuwając chwilę pożegnania.

— No, dobrze — powiedział nagle wuj Józef do Oksany. — A jak twoje sprawy? Kiedy obejmiesz ten budynek i zaczniesz przyjmować dzieci?

— Jutro — tym samym rzeczowym i na pozór obojętnym tonem odpowiada Oksana.

Ale Nastusia, słuchając tej wymiany zdań, wyczuwa, że kryje się za tym lęk przed rozstaniem, które nadejść musi...

— Nie wiem doprawdy, jak to będzie — ciągnie dalej Oksana. — Z pracowników oprócz mnie jest na razie tylko pielęgniarka. No i dozorca. Nie ma ani wychowawców, ani nauczycieli... A trzeba przecież otworzyć szkołę. Dzieci muszą się uczyć.

— Uczyć!? — woła Nastusia na chwilę zapominając o tym, co ją gnębi. — I ja też będę się uczyć?

— Oczywiście — uśmiecha się mimo woli Oksana. — Będziesz się uczyć razem ze wszystkimi. A oprócz tego będziesz moją pomocnicą.

— Pomagaj Oksanie — dorzuca wuj Józef. — Liczę na ciebie, Nastusiu.

Kiwnęła głową i nagle zobaczyła, że wuj włożył już swoją czapkę z czerwoną gwiazdą. Rzuciła się więc ku niemu, a on pocałował ją, potem ucałował Oksanę i wyszedł z pokoju. Oksana wybiegła za nim aż na dwór, nawet nie narzuciwszy chustki na ramiona; Nastusia chciała zawołać, ale zastygła w progu. „Znowu rozłąka, znowu oczekiwanie, znowu smutek" — myśli z żalem. Ale zaraz uśmiecha się. Przecież teraz nie jest już sama: zostaje z Oksaną! Spełnią się także jej dawne, takie zdawałoby się nieziszczalne marzenia — będzie chodzić do szkoły, będzie się uczyć.

SPIS RZECZY

Od tłumacza 5

Część pierwsza

Dzień małej Nastusi 7
Brzemię nieszczęścia 15
Sieroca dola 24
Wuj Józef 34
Na służbie 45
Niespokojna jesień 54
Nastusia pomaga rewolucji 62
Nadciągają ważne wydarzenia 70
Wśród swoich 79

Część druga

Oddział wyrusza w drogę 89
Siostra Oksana 96
Pułapka 104
„Nie chcemy waszej łaski" 114
Powrót 124
W domu Pawła kolejarza 132
Lokal konspiracyjny 139
Wsypa 151
Karabin maszynowy na strychu 161
Żołnierze generała Denikina 171
Dom przy ulicy Małej Sadowej . . . 178
Obóz w lesie 191
Ze szczęścia się nie umiera 201

Państwowe Wydawnictwo „Iskry", Warszawa 1978 r. Wydanie I.
Nakład 30 000 + 300 egz. Ark. wyd. 7. Ark. druk. 13,5.
Papier druk. sat. kl. III, 70 g, 92 × 114. Druk ukończono
w kwietniu 1978 r. Łódzkie Zakłady Graficzne, Zakład nr 1,
Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45.
Zam. nr 3010/11/77. Cena zł 24.— S-97.

Cena zł 24.–

27.V.78

126/62